

Lwowska Naukowa Biblioteka im. W. Stefanyka NAN Ukrainy. Oddział Rękopisów.

Zespół (fond) 4.

Zbiór rękopisów Biblioteki Baworowskich

Dział (opys) 1

1207. *Życie* [hasło konkursowe] Górnicy. Sztuka dramatyczna w 3 aktach [przesłana na konkurs dramatyczny Wydziału Krajowego we Lwowie].

*STRONY NIEZAPISANE NIE ZOSTAŁY ZDIGITALIZOWANE*

ЛЬВІВСЬКА НАУКОВА БІБЛІОТЕКА

ІМ. В. СТЕФАНИКА НАН УКРАЇНИ

ВІДДІЛ РУКОПИСІВ

Фонд

4 (Бав.)

Опис

1

Справа

1207

Лист

129770/2

do poz. 31.  
kancel. obron. państw.  
do ds. 12319/07

Godło: "Życie"

Górnicy.

struktura dramatyczna  
w 3 aktach.



IV. D. 31  
A. 207

# G Ó R N I C Y.

Sztuka dramatyczna w trzech aktach.

## O S O B Y:

Jerzy Malicz  
Władysław Pietrzyński } młodzi inżynierowie odbywający praktykę górniczą  
w kopalni.

Elżbieta Pietrzyńska — stryjeczna siostra Władysława.

Tomasz Kos — stary robotnik.

Marta — jego córka — nauczycielka szkółki ludowej.

Wyszyński — sztygar.

Szymon Hul

Bielicki

Kulis

Stelik

Marchowski

Staniszek

Szczepaniak

Rożanik

Kowalczyk

Damazy Żarski — oficjalista.

Franek — chłopak pokojowy.

g ó r n i c y.

## A K T I.

Scena przedstawia obszerną salę, zamienioną na herbaciarnię ludową. Po prawej stronie na wąskich stołach ustawione dwa duże samowary — obok nich tace ze szklankami, koszyki z pieczywem i przekąski.

W bliskich od siebie odstępach ku środkowi sceny stoją małe stoły nakryte kolorowymi serwetami i otoczone krzesłami. Przy jednym takim stoliku zajął miejsce Wyszyński — człowiek niemłody, nieco zgarbiony, z żółtawej cerze; popija herbatę, równocześnie czyta gazetę. Przy następnym stoliku Jerzy Malicz — młody lat 25; twarz bez...

rostu, włosy bujne i długie, zaczesane swobodnie i wysoko nad czołem; ubiór staranny. Dalej Tomasz Kos, starzec sześćdziesięcioletni o rzadkich, siwych włosach. Najbliżej widzów, ku przodowi sceny siedzi, wsparty łokciami na stoliku, Szymon Hul — młody robotnik, suchy i śniady z niskim czołem i czarnym zarostem. Ubiór więcej niż niedbały — brudna, kolorowa koszula rozpięta pod szyją, głowa schylona nisko. Z pod czoła obserwuje każdy ruch Marty, zajętej nalewaniem i roznoszeniem herbaty. — Marta, dwudziestoczworoletnia dziewczyna, barczysta i silna, o ciemnych włosach i śniadej twarzy, przesuwa się energicznie, trochę ciężkim krokiem wzdłuż stolików, brzęcząc szklankami i niecierpliwie potrącając krzesła. Ubrana jest ciemno — włosy uczesane modnie, ale niezręcznie, wymkają się z krępującego jej wałka i opadają szerokimi pierścieniami wzdłuż czoła i skroni. Na ramionach jaskrawy szalik, związany w gruby węzeł na piersiach.

Wszystkie wymienione osoby znajdują się po prawej stronie sceny.

Lewa strona przedstawia przestrzeń wolniejszą, bez stolików i krzesła. Chór, złożony z ośmiu górników, [Bielicki, Kulis, Stelik, Marchowski, Staniszak, Szczepaniak, Rożanik i Kowalczyk] otacza Władysława Pietrzyńskiego, który trzyma w ręku batutę i kieruje ich głosami, rzucając się przytem całym ciałem w tył i naprzód, wydłużając się i przysiadając z niesłychaną zapalczywością.

Pod ścianą pianino, przy którym zajął miejsce Damazy Żarski — człowiek w latach podeszłych. Akompaniuje bez nut, wyginając się w takt śpiewu nad klawiaturą.

Chór śpiewa następującą popularną pieśń w dosyć przyspieszonym tempie:

Wa.  
ok  
o=  
B=

We - dru - je - my bo - rem la - sem, przy - mie -  
ra - jąc zgło - du cza - sem; to bie - da - - - - a  
oj to to to To bie - da - - - - a nie - do - la

bis

Słowa: Wędrujemy borem, lasem,  
przymierając z głodu czasem —  
to bieda — oj to, to — to bieda  
niedola.

Las nam ścianą, niebo dachem —  
cały świat wspaniałym gmachem —  
to bieda — oj to, to — to bieda  
niedola.

Żołnierz w życiu swem tułaczem  
nigdy się nie shańbi płaczem —  
to bieda — oj to, to — to bieda  
niedola.

## S C E N A I.

Władysław [wywijając batutą]

Wędrujemy borem, lasem... prędeej!  
przymierając... [zrywa się, jak oparzony] panie Bielicki, jak pan  
fałszuje, jak pan fałszuje: — [krzyczy Bielickiemu w samo ucho] —  
przymieraaa... raaa... powtórz pan.

Bielicki.

Raaa...

Władysław.

To, to! Teraz właśnie. — [do Damazego, który akompaniuje w dalszym  
ciągu, nie zważając na przerwę] — Panie Damazy, co pan tam wyrabia? Za-  
czynamy jeszcze raz.

Damazey.

przerywa i bierze znowu początkowe akordy.

Władysław.

Panie Bielicki — uważaj pan.

Wędrujemy borem, lasem... prędeż u dyabła:  
 przymierając z głodu czasem  
 to bieda: oj, to, to: to bieda  
 niedola.

Jedziemy dalej, panie Damazy,

Las nam ścianą — niebo dachem,  
 cały świat wspaniałym gmachem —

Panie Bielicki — pan znowu fałszuje —

to bieda — oj, to, to: to bieda...

Za wysoko: za wysoko, panie Damazy. Ja panu odrazu mówiłem, że za wysoko; ale co z panem robić, kiedy pan uparty, jak sto kozłów. Bierz pan o pół tonu niżej.

—|idzie do Damazego, pochyla się nad klawiaturą i bierze kilka akordów|—

Damazy.

A żeby to pan kazał chociaż nastroić —|uderzając o klawisze|— O — słyszy pan? co to za gra taka?

Bielicki.

—|bardzo głośno, obejmując palcami wydęte gardło|—

Raaa...

Staniszek, Stelik i Marchowski —|podśpiewując|—

to bieda: oj to, to...

Wyszyński.

—|który w czasie powyższego śpiewu niecierpliwił się i mruczał kłątwy raz po raz — zrywa się nagle i z złością przesuwa krzesło o kilka kroków dalej|—

... Z tymi rykami: Mało człowiekowi głowy nie rozsada.

Jerzy

—|obraca się ku niemu i mówi z drwiącym uśmiechem|—

A od czego imaginacja — panie Wyszyński?

Wyszyński.

Jaka imaginacja?

Jerzy.

Zamknij pan oczy i wmawiaj w siebie, że jesteś na pierwszorzędnej operze i to jeszcze — uważa pan — za darmo.

Marta.

—|wybuchła wesołym śmiechem|—

—|Wtórą jej kilka głosów wśród górników przysłuchujących się rozmowie|—

Wyszyński —|syczącym głosem|—

Panie Malicz — ja panu radzę, abys pan swoim pięknym dowcipem bawił młodszych od siebie. Radzę panu — i proszę o to bardzo.

Jerzy —|zawsze wesoło|—

Ha — wszak pan nie możesz wiedzieć, czy moim celem nie jest właśnie zabawić młodszą część towarzystwa kosztem tej odrobiny zółci, którą w panu poruszyłem, a za co zresztą najmocniej przepraszam.

Wyszyński.

Jeżeli chodzi o imaginację, panie Malicz, to ja mam panie imaginację, że to nie sala żadna, ale obora, gdzie mi całe stado bydła ryczy nad głową.

—|pochyla się nad gazetą i udaje mocno zajętego czytaniem|—

Jerzy —| podnosząc do ust szklanke herbaty|—

Serdecznie panu współczuję.

Szymon Hul.

—|zatrzymując rękę Marty w chwili, gdy ta stawia przed nim szklanke herbaty|—

Panno Marciu — niechże panienka usiądzie, bo tak się kręcić, to ino nogi bolą.

Marta.

—|niecierpliwie, próbując uwolnić swą rękę|—

Ale! — nie miałabym gdzie usiąść, aż tu z panem. Ha — ha! żeby się pan chociaż unył przy niedzieli.

Szymon Hul.

Aby na chwilę ino... moja najukochańsza panno Marciu! —|obejmuje ją w pól|—

Marta —|wyrывая się energicznie|—

Puszczaj, oberwańcze! bo się jeszcze doigrasz!

Tomasz Kos —|uderzając pięścią w stół|—

Nie zaczepiaj dziewczyny, kiedy mówię!



Szymon Hul.

—|puszcza Martę, która powraca do samowarów|—

Tomasz Kos.

Patrzajcie! Na łajdactwa mu się zebrało! Jak na zaczepianie, to do szynku! bo tu, to ino porządne ludzie chodzą.

Szymon Hul.

—|odsuwając się z krzesłem na drugą stronę stolika|—

A jakże... jakże... Już ja wiem, że ja dla was nieporządny, bo taka pannica, to musi bogacza dostać. Jakże... takiemu oberwańcowi jak ja, to już najlepiej się pod ziemię zakopać.

—|tymczasem górnicy skupiają się znowu wokoło Władysława, który bierze batutę. Damazy wprawia się w zmienionym akompaniamencie|—

Szymon Hul.

—|podnosi się, obchodzi wszystkie stoliki i zbliża się do Marty, stojącej przy samowarze|—

Panno Marciu — ja chciałem tylko jedno panience powiedzieć...

Marta —|z gniewem|—

A odczep się już raz odemnie — człowieku!

Tomasz Kos.

Jużem panu Szymonowi powiedział, że jak mają być zaczepki — to ruchać za drzwi.

Szymon Hul —|przez zęby|—

A jakże, jakże... Będę ja wam ruchał, aże wam na pięty wleżę...!  
—|przechodzi na lewą stronę sceny i siada w głębi na niskiej pace pod ścianą|—

Władysław —|do górników|—

Panowie! — zaczynamy jeszcze raz. Panie Damazy — tylko z życiem — nie śpij pan nad tą klawiaturą. Z życiem!

Wędrujemy borem, lasem

przymierając z głodu czasem...

—|Chór śpiewa wszystkie trzy zwrotki|—

Władysław.

No — teraz było lepiej. Odпочnijmy trochę.

—|wyjmuje chustkę z kieszeni i ociera pot z czoła — poczem idzie do pianina i mówi do Damazego|—

Panie Damazy w tem miejscu —|bierze kilka akordów|— zupełnie niepotrzebnie przetrzymujesz pan takt.

Damazy.

Aa... już panu — to chyba nikt nie dogodzi.

—|rozmawiają w dalszym ciągu półgłosem|—

—|Górnicy rozpraszają się po sali, — zajmując miejsca przy stolikach i nucąc, — Marta roznosi im herbatę|—

Wyszyński.

—|odkładając gazetę i biorąc szklanke z herbatą|—

A żeby im już raz te gardła popękały od tego wycia!

Jerzy |z wesołym sarkazmem|—

Co to za czasy, panie Wyszyński, prawda? co to za czasy nastały!

Wyszyński —|tłumiąc złość|—

Jak się panu podoba drwić, panie Malicz — to sobie drwij, boś i tak niedawno od ziemi odrósł, ale ja panie stary jestem, to mi pan możesz wierzyć, a ja panu powiadam... że dawniej, to się nikomu o takich panie, chórach, ani zebraniach nie śniło, ale za to...

Jerzy.

Były dawniej lepsze czasy — co?

Wyszyński.

—|blady, w coraz silniejszym podnieceniu |—

Dawniej, panie Malicz, były takie czasy, że był porządek i posłuch. Taki panie cham każdy wiedział, do czego go Pan Bóg stworzył.

Jerzy.

Mianowicie..?

Wyszyński.

Wiedział, panie Malicz, że go Pan Bóg stworzył nie na śpiewanie, ani na agitacye żadne, ale na to, żeby robił i słuchał. Jak go było przez łeb trzasnąć, to potem jeszcze się sam upokorzył i przeproszał, bo wiedział, szelma, że jak dostał — to mu się należało — a teraz co?

—|W czasie tych ostatnich słów powstają przy sąsiednich stolikach

głuche szmery, chrząkanie i przytłumione syki. Wyszyński ogląda się, spostrzega, że ma liczniejszych słuchaczy i mówi dalej trochę niższym głosem|—

Ja — panie — nikomu nic nie przymawiam, ale taki człowiek, co ma robotę, to jej powinien pilnować, a nie jakimś tam śpiewaniem, chórami, odczytami łeb sobie zawracać.

Jerzy.

Więc pan jest tego zdania, że taki np. górnik poza swoją czarną jamą w kopalni — nic więcej widzieć nie powinien?

Wyszyński.

Ja, panie, nic nie mówię. Taki człowiek ciemny, jak mu nagadają, to potem nic dziwnego, że sam nie wie, po co i na kogo kły szczyrzy.

Jerzy.

Takie już czasy nastały — co?

Wyszyński.

—|znowu tracąc panowanie nad sobą|—

Jeżeli pan chcesz wiedzieć prawdę, panie Malicz — to ja panu powiem, że to nie tyle czasy winne, bo jakby nie było takich, panie, opętańców, żółtodzióbów, co to się po całym świecie tłuką, jak te dyabły, a gardła mają tylko na to, żeby wrzeszczeć i ludziom w głowach przewracać — toby i tych czasów nie było.

Marta —|śmiejąc się|—

Ha — ha! Jak pan pięknie dowodzi — panie Wyszyński.

Jerzy —|do Marty|—

Prawda, panno Marti? Przynajmniej się człowiek czegoś w tej naszej herba=ciarni nauczy. Ja passyami lubię, kiedy pan Wyszyński zaczyna filozofować.

Wyszyński.

Jak się panu podoba drwić, panie Malicz, to sobie drwij, a ja panu powiadam, że to jest jak choroba, jak ten wrzód w społeczeństwie! Z tem niema innej rady, tylko wyrwać i wyrzucić, jak to trujące zielsko ze swego ogrodu. Ja panu powiadam, panie Malicz, że jak tu jestem 25 lat w tej kopalni — tak o jednym marzę: żeby mi się tylko taki pan, co to ludziom w głowach przewraca, na wszystkich zebraniach wrzeszczy — odczyty, hi =

storie urządza — żeby mi się taki, panie, opętaniec w ręce dostał!

Jerzy.

—|podnosi się, staje przed Wyszyńskim i mówi wesoło, zakładając rami-  
miona na piersiach|—

Ależ, panie Wyszyński, w takim razie, jesteś pan u szczytu swoich  
marzeń. Oto właśnie przed panem stoi taki opętaniec, który ludziom w gło-  
wach przewraca — odczyty historie urządza — takie trujące zielsko i t.  
d. Dlaczegoż pan nie folguje swoim dobrym chęciom?

—|Grzmot śmiechów i oklasków. Dają się słyszeć okrzyki: Niech żyje  
pan Malicz!

Wyszyński.

—|podnosi się prawie nieprzytomny z gniewu i wściekłości|—

Panie Malicz — ja mam tego wszystkiego dosyć.

—|rozglądając się|— Ja coraz więcej nabieram przekonania, że jestem  
nie w sali, ale w oborze, gdzie mi całe stado bydła ryczy. Taki człowiek,  
co się nie umie zachować po ludzku — to lepiej niech w domu siedzi, albo  
jeszcze lepiej, niech swojej roboty pilnuje. —|do górników|— A chcecie  
wy ze mną zaczynać, to ja też będę z wami gadał. Mówiłem dzisiaj, że mi  
na wieczór ludzie potrzebni do kopalni, bo przy tych dwóch szybach, co  
mi się wczoraj zasypały, jest robota pilna — to mi żaden nie przyszedł —  
a tutaj, toście się poschodzili, żeby gardła drzeć i burdy wyprawiać.

—|idąc do Władysława|— Panie Pietrzyński — ja chciałem z panem pomó-  
wić.

Władysław.

—|który dotąd siedział zamyślony przy pianinie i nie brał udziału  
w rozmowie, podnosi się i mówi niechętnie|— Słucham — panie Wyszyński.  
Co tam się znowu stało?

Wyszyński.

Ja tylko chciałem panu powiedzieć jako praktykantowi, że ja — panie  
jako sztygar, jestem odpowiedzialny za to, co się dzieje w kopalni. A  
przy tych dwóch szybach, co się wczoraj zasypały, jak panu wiadomo, jest  
robota pilna i mnie potrzeba ludzi wieczorem. Więc pan jako praktykant  
nie powinieneś mi — panie — odciągać ludzi od roboty.

Władysław —|podrażnionym głosem|—

Ależ — panie Wyszyński — co za nowe podejrzenia?

Wyszyński.

Ja panu, jako praktykantowi, powiem, że tu nie jest opera żadna, ale kopalnia. Moi górnicy dotychczas nie śpiewali, to mogą i dalej nie śpiewać. Nam tu nie potrzeba tenorów, ani basów, ale ludzi do roboty. Proszę więc pana bardzo, żeby pan tych wieczornych chórów nie urządzał, bo mnie ludzie są potrzebni...

Władysław.

Ależ, panie Wyszyński, ja tu jestem tylko osobą trzecią. Ja nic nie mogę postanowić, bo przedewszystkiem nie wiem, czy ci panowie się zgodzą...

Wyszyński —| z tłumioną złością|—

Ci... panowie muszą się zgodzić, bo kiedy się już raz zgodzili do roboty — to chyba wiedzą dobrze, że robota, to nie śpiew. Na śpiewanie będzie czas w niebie, jak nas tam puszcza — a teraz im za to płacą, żeby kopalni pilnowali —| zwracając się do górników|— Słyszycie moi... panowie? Każdy taki pan, który mi jutro nie przyjdzie na wieczorną robotę do kopalni, z całym swoim państwem wyleci w jednej chwili! Słyszeliście? —| przez zęby|— Hołota. —| wciska kapelusz na głowę i odchodzi|—

—| Wśród górników głuchy szmer oburzenia|—

— o —

## S C E N A II.

Władysław —| wzruszając ramionami|—

Wściekł się stary — czy co?

Bieliński.

Jak Boga kocham — żeby chociaż wiedział, o co się ta bestya tak na nas ciska.

Kulis.

Ten jakby mógł, toby nas żywcem pod ziemię zakopał, żebyśmy się już od tych szybów ani na krok nie ruszali.

Stelik.

A to przecie i zwierzę każde wyjdzie ze swojej nory, żeby się trochę na słońcu ogrzać, a my mamy po 16 godzin w tych jamach siedzieć!

Marchowski.

Ja tam nie wiem, jak kto — ale sam to nie pójdę. Niech się dzieje, co chce.

Szczepaniak.

Ale — dobrze wam gadać! A poradzicie to z Wyszyńskim? A jak bez chleba zostanieie — to co? Czy wam kto pomoże?

Władysław.

—|chodząc po sali przyspieszonym krokiem|—

Nie — nie. Bądźcie spokojni. Już my na niego jakiś sposób wynajdziemy —|do Jerzego|— Słyszalesz, Jurek? co ty na to?

Tomasz Kos.

—|podnosi się i zbliża do górników|—

Wy jesteście wszyscy głupi! Dlaczegoście mu odrazu nie powiedzieli tak, że się na roboty wieczorne nie zgadzacie. Zamilczeli wszyscy, jak barany — a jemu do jutra jeszcze większe rogi urosną.

Kowalczyk.

Ale... teraz każdy odważny, bo wilk za drzwiami — a póki tu był — to nic.

Bielicki.

A co my mieli robić? Najlepiej to było odrazu wszystkie stoły i stołki brać i na łeb mu ciskać.

Marchowski.

Ja wam też powiadam, że trzeba z nim teraz inaczej gadać. Jak mu się który z nas postawi ostro...

Jerzy.

—|śmiejąc się z lekką ironią w głosie|—

Ha — ha! Przez 25 lat tak samo was dręczył i poniewierał, a wyście wszyscy truchleli przed nim;— miałby się on teraz którego z was przestraszyć?

Tomasz.

Nie mówiłem wam to, że jesteście wszyscy głupi?

Jerzy.

Pierwszy z was, który się Wyszyńskiemu odezwie śmielej, zostanie bez chleba, a reszta przerażona tym przykładem zamilknie — i znowu wszystko będzie jak dawniej.

Szczepaniak.

Ja wam też to samo mówię. Człowiekowi biednemu już nic, ino zęby zaciąć...

Marchowski.

A ja wam powiadam, że takie prześladowania znosić — to już lepiej ziemię gryźć...

Rożanik.

Żeby się znalazł jeden taki śmiały, coby się zaś z Wyszyńskim rozprawił...

Marchowski.

Póki człowiek nie warknie, jak ten pies na łańcuchu — to nim każdy będzie pomiatał.

Stelik.

Już tak jest na świecie, że tylko temu dobrze, kto warczy i gryzie.

Jerzy —|podnosząc się|—

Słuchajcie, moi panowie, czy chcecie, abym i ja w tej sprawie wypowiedział moje zdanie?

Ogólny poklask i okrzyk: Pan Malicz mówi!

Poczem wrzawa cichnie i milczenie zalega salę.

Jerzy.

—|zaczyna mówić z wzrastającym uniesieniem, silnym i pewnym głosem|  
Patrzając na was, nie dziwię się wcale, że na waszych twarzach czytam niepohamowany żal i gorycz — nienawiść nawet do sztygara Wyszyńskiego, bo ten człowiek skrzywdził was śmiertelnie. Ten człowiek przez 25 lat pracował nad tem, aby zabić w was człowieczeństwo wasze. Czy wy rozumiecie, co to znaczy? czy wy pojmujecie całą głębię tej zbrodni? zabić w was tę świętą godność ludzką, która jak czyste światło nieśmiertelnej pochodni powinna świecić na waszych czołach męczarnią pracy uznojoną. Im ciężiej pracujecie — tem więcej macie prawo żądać, aby tę godność waszą uszanował każdy, kto z wami przystaje — zarówno towarzysz, jak dozorca. A ktokolwiek odważyłby się zdeptać ją i sponiewierać — niechaj sam będzie zdeptanym: :

Długo niemilknięce oklaski i okrzyki: Niech żyje Malicz!

Jerzy.

Powtarzam wam — nie dziwię się wcale, że wobec tego, co zaszło, zwrzały w was nienawiść i oburzenie. Temu tylko dziwić się muszę, że wy istotnie wierzycie w waszą bezsilność: że wy krzywdzeni i poniewierani, załamujecie ręce, nie wiedząc, jak się od tej krzywdy uwolnić! Kiedy to widzę, chciałbym wam powtórzyć słowa największego z geniuszów naszych Człowieku — gdybyś wiedział jaka twoja władza!:

—|przerywa na chwilę — Górnicy słuchają w najgłębszym milczeniu; na wszystkich twarzach znać nateżoną uwagę i gorączkowe podniecenie — Jerzy mówi dalej|—

Przyznaję, że każdy z was, walcząc z osobna, nic nie znaczy — naraża się tylko na utratę chleba i nędzę, ale... jeżeli wy wszyscy, jak jesteście w kopalni pójdziecie zwartą ławą — jednomyślnie i solidarnie zażądacie natychmiastowego wydalenia Wyszyńskiego, czy sądzicie, że jeszcze będziecie musieli ustąpić? Kilkuset ludzi związanych jedną myślą, jednym pragnieniem i jednym żądaniem — to potęga, której nikt i nic nie zwycięży!:

|Przeciągły grzmot oklasków|

Kilka głosów równocześnie.

Zażądać wydalenia Wyszyńskiego!

Marchowski.

Zebrać wszystkich górników — i do zarządu!

Jerzy.

Czekajcie! Nie taką drogą pójdziemy. Wybierzcie delegację. Ja sam ułożę żądanie na piśmie, które wasza delegacja zanieśnie zaraz po przyjeździe dyrektora.

—|Nowe oklaski|—

Szymon Hul —|wysuwając się z głębi sceny|—

Za pozwoleniem szanownego zgromadzenia. Niech i ja się ze swoim odezwę.

—|Oklaski milkną — Hul mówi dalej|—

Ja tylko to jedno chciałem zauważyć.

Wszystko będzie, jak pan Malicz powiedział. Delegację wybierzemy, Wyszyński stąd odejdzie, ale... nasza krzywda jeszcze się na tem nie



skończy. Abo to on jeden nas krzywdzi? A taki Chmieliński — sztygar — nie jestto dla nas drugi kat taki sam, a może jeszcze gorszy od Wyszyńskiego?

Staniszek.

Ja też myślę, że gorszy!

—|Kilka głosów protestu|—

Bieliński.

Już ja wolę Chmielińskiego.

Marchowski.

I jeden kotr i drugi. Obydwóch wydalić!

Szymon Hul.

Wyszyński — to człowieka zwymyśla i sponiewiera jak psa — to prawda — a Chmieliński słodki; ale za to, czy nie obcina to on zarobków tak, że nieraz człowiekowi przyjdzie cały tydzień z głodu zdychać. Czy to nie przez niego my biedę cierpimy i nędzę? A ja sam — czy jabym taki obdarty chodził, żeby nie Chmieliński? przez to, że mi ten złodziej zarobek obcina i nawet tych kilku rubli nie da do domu przynieść. To za to, że my przez niego obdarci i głodni, to my mamy jego znosić i jeszcze go miłować?

Oklaski i okrzyki: Wydalić obydwóch!

—|Jerzy chrząka i chce zabrać głos, ale Hul mówi dalej, podnosząc głos, aby nikogo do słowa nie dopuścić|—

Szymon Hul.

A taki Fussman, co akordy oblicza — nie jestto gadzina gorsza jeszcze od wszystkich?

Nie podgląda to on? nie podsłuchuje po wszystkich kątach, żeby zaś potem zarządowi donosić?

A jak sobie do kogo upatrzy — jak mu prezentów nie dać — to nie obliczy on tak, że przy tem obliczeniu można z głodu własne pięściogryzać.

Pojedyncze okrzyki: Wydalić Chmielińskiego i Fussmana.

Szymon Hul.

Wydalić wszystkich trzech kotrów!:

Wszyscy górnicy powtarzają ten okrzyk i wszystkie ręce podnoszą się w górę.

Władysław.

—|wychodzi na środek sali i zaczyna mówić głosem niepewnym, jękając się i gestykulując energicznie|—

Panowie! panowie! Uspokójcie się! na krótką chwilę, na minutę uspokójcie się i posłuchajcie. Ja długo nie będę mówił... Ja tylko... jabym wam radził nie żądać za wiele odrazu, bo moglibyście się przerachować i nawet... doprowadzić... doprowadzić do rezultatów zupełnie ujemnych... nawet zgubnych. Jeżeli zdobędziecie od zarządu to ustępstwo, że Wyszyński będzie wydalony — przykład podziąka. Chmieliński i Fussman zmieniają się.

Szymon Hul —|wybuchając szyderczym śmiechem|—

Ha — ha! Ja z góry wiedział, że pan tak powie. Zmieniają się — zmieniają! Panowie obydwaj tu są niedawno, to se tak mogą mówić, ale my tu lata całe harujemy, to my wiemy dobrze, że Łotr, to zawsze Łotrem zostanie. —|zwracając się do towarzyszy|— Powiedzcie mi, bracia, kochani obywatele! czy wam się zdaje tak, że się zmienia?

Kilku górników —|równocześnie|—

Nie zmieniają się!

Marchowski.

Łotr, to zawsze Łotrem zostanie!

Szymon Hul.

—|wpadając w coraz większą wściekłość|—

A choćby się i zmienili, choćby się stali święci jak aniołowie z nieba — czy przez to nasze dawne krzywdy zamilkną i o pomstę wołać nie będą? A czy nam zwrócą ten krwawy grosz, co nam wydarli — ten kawałek chleba, któregośmy łaknęli, kiedy nam głód skręcał wnętrzności przez nich? Czy nam oddadzą te ruble, na któreśmy harowali w krwawym pocie, a które nam te szakale, jakby z gardła wydzierali?

Górnicy —|podnosząc zaciśnięte pięści|—

Wydalić Łotrów! Precz z szakalami.

Jerzy.

—|podnosząc rękę, aby uspokoić zebranych|—

Panowie — spokój!

(Wrzawa cichnie)

Bielicki.

Cicho — pan Malicz mówi:

Tomasz Kos —|równocześnie|—

Pan Malicz mówi: spokój!

Jerzy.

Panowie! Dzisiejsze nasze narady zamykam następującym postanowieniem: Jestem gotów ułożyć pismo do zarządu z żądaniem natychmiastowego wydalenia tych trzech ludzi, o których mi mówiliście.

Szymon Hul.

Za pozwoleniem pana. To jeszcze nie wszystko...

Jerzy —|nerwowym, ostrym tonem|—

Co tam jeszcze? Dosyć się nagadaliście — panie Szymonie Hul! — teraz pozwólcie mnie mówić.

Kilku górników —|równocześnie|—

Pan Malicz niech mówi!

Szymon Hul —|nieustraszony mówi dalej|—

Ja tylko jedno chciałem powiedzieć... bo pan Malicz sam krzywdy nie doznał — to nie wie — co to jest krzywda. A powiadam wam bracia, obywateli, że jak pan Malicz zostanie kiedy jaśnie wielmożnym dyrektorem, to też będzie na nas inaczej patrzył...

Tomasz Kos.

Panie Hul — jak pan tu masz obelgami sypać — to się pan lepiej za drzwiami oglądaj, żebyś zaś przed czasem nie wyleciał.

Szymon Hul —|pogardliwie|—

A jakże, jakże... Będę ja się oglądał przez to, że pana Tomasza jakiś wściekły pies ukąsił!

Tomasz Kos —|unosząc się|—

Ze mną nie zaczynaj urwisie, bom stary!

Jerzy —|uderzając w dłoń|—

Spokoju, moi panowie — spokoju! Chodzi o to, aby jaknajprędzej przy-

stąpić do dzieła. Więc ułożenie tego żądania mnie zostawcie, a sami wybierzcie delegację. Całą rzecz jednakże do czasu utrzymywać trzeba w tajemnicy.

Bielicki.

—|zamieniwszy kilka słów ze swymi towarzyszami, zbliża się do Jerzego|—

Proszę pana — my najspierw chcieli z panem pogadać — bo... my ślimy tak, że nam pan nie odmówi tego, żeby być pierwszym delegowanym, a jakby jeszcze kilku było potrzeba, to pan będzie łaskaw sam już naznaczyć.

Jerzy.

—|po chwili z lekkim zakłopotaniem|—

Dziękuję wam bardzo za okazane mi zaufanie...

Tomasz Kos.

Przecież nam pan chyba nie odmówi.

Jerzy.

Z największą chęcią chciałbym was zadowolnić, ale wiecie, że dyrektor dopiero za tydzień powraca z zagranicy, a mnie za tydzień już tu nie będzie.

Marta.

—|która przysłuchiwała się z zajęciem powyższej scenie, siedząc przy jednym ze stolików — na ostatnie słowa Jerzego zrywa się z miejsca przerażona|—

Co pan mówi — panie Jerzy?— Pan wyjeżdża?

Tomasz Kos —|równocześnie|—

Za tydzień? To nie może być! Chyba pan jeszcze nie wyjedzie.

Jerzy.

Niestety — wyjeżdżam w tych dniach. Właśnie otrzymałem list z wiadomościem, że w Warszawie otworzyła się dla mnie posada, na którą od dawna liczyłem.

Bielicki.

A w naszej kopalni nie byłoby to panu lepiej?

Stelik.

Jabym panu szczerze radził zostać, a po świecie chleba nie szukać.

Staniszak.

Czy się to i tu nie można dorobić?

Jerzy.

—|z uśmiechem ściskając ich ręce|—

Dziękuję wam za waszą życzliwość i wasze dobre rady, ale widzicie — okoliczności tak się złożyły, że nie mogę...

Władysław.

Jurek, a dlaczegoś ty mi nic o tym nowym projekcie nie mówił?

Jerzy —|wyjmując list z bocznej kieszeni|—

Właśnie wczoraj list odebrałem.

Władysław.

No — no... to ja teraz sam tu zostanę.

Ale... co najważniejsze, czy ja tu sobie dam radę z tem wszystkim, coś my pozaczynali.

Jerzy.

—|idąc do stolika, na którym zostawił był niedopitą szklanę herbaty|—

Przy dobrych chęciach wszystko można — mój kochany.

Staniszak —|do Władysława|—

Panie Pietrzyński, pan też jako kolega mógłby na pana Malicza wpłynąć...

Władysław.

—|odpowiada mu przyciszonym głosem, kierując się w głąb sceny|—

—|Górnicy otaczają Władysława i rozmawiają z nim półgłosem|—

o

### SCENA III.

Tomasz Kos.

—|zbliża się do Jerzego i mówi, odpowiadając na ostatnie jego słowa|—

To pan powiedział prawdę, panie Malicz;— przy dobrych chęciach wszystko można — toby i pan też mógł zostać z nami, żeby ino dobre chęci były.

Jerzy.

Mój kochany panie Tomaszu — gdyby to tylko odemnie zależało — siędziabym tu jeszcze choćby i rok cały, ale widzicie — ojciec, „rodzina...

Marta.

—|zajęta płukaniem i wycieraniem szklanek|—

A toć przecież pan pełnoletni!

Tomasz Kos.

Ale — i to prawda. Nie mówię, żeby na ostro, ale przecież ojcu można wyłożyć, wyperswadować, a to że praktyka za krótka była — że i dla samej kariery lepiej tu pozostać...

Jerzy.

Kochany panie Tomaszu; prędzej czy później — my się i tak rozstać musimy, bo ja tu wiekować nie będę. Czy myślicie, że mnie was nie żal?

Tomasz Kos.

Ha — może i żal. Ja tam nie wiem, proszę pana. Może i trochę żal... Będzie pan odjeżdżał, to się pan jeszcze obejrzy na nas i pomyśli sobie: biedne ludziska — ostali w smutku. Może tam panu trochę i żal... Ale nam... —|Głos mu się załamuje; ociera łzę rękawem|—

Jerzy.

—|wzruszonym głosem ściskając jego rękę|—

Pocziwy, zacny przyjacielu.

Tomasz Kos.

—|trzymając rękę Jerzego w obu dłoniach|—

Panie Malicz — ja chciałem z panem szczerze mówić... bo to... Boże odpuść... człowiek tu już tyle lat... Ja tu, proszę pana, najstarszy. Najdłużej ja tu pracowałem — najwięcej się pod ziemią tego czarnego pyłu i tej czarnej biedy nałykałem... Osiwiałem tutaj, zeszargałem się... ja najlepiej wiem, jakie to ciężkie życie...

Jerzy.

Wierzę wam, panie Tomaszu — niewesołe życie.

Tomasz.

Ja stary jestem, ale tamci młodszy.— To jak na nich patrzę — jak sobie pomyślę, że im się też tak przyjdzie zeszargać, jak mnie... tyle lat... tyle lat wleklimy się po tych norach... Głowy nam poopadały tak, jakby my już nic za tą jamą nie widzieli... tyle lat i nikt jeszcze tak do nas nie mówił, jak pan. Dopiero, jakżeś pan zjechał do nas.

Jerzy —|z zadowoleniem|—

Ja pierwszy miałem to szczęście, że obudziłem was z letargu.

Tomasz.

Ja już sam nie wiem, co to będzie, jak pana zbraknie. O mnie ta nie chodzi — ja stary jestem, głowa ciężka — kości skołatane — jużem ta swoje przeżył — jużem ta ścierpiął wszystko, ale tamci młodszy. Jakby ich kto jeszcze obudził, jakby tak zatrzęsł nimi, a z tej ciemności wyciągnął; możeby im ta jeszcze lepiej było...

Jerzy.

Może... może... ale widzicie, panie Tomaszu...

Tomasz Kos.

Pan by to jeden potrafił, panie Malicz — ja to już dawno wiem, że tylko pan jeden...

Pan nawet nie wie, jak my się do pana przywiązali.

Jerzy.

—|wzruszony podaje mu rękę|—

Tomasz Kos.

Ja stary, a chciałem podziękować panu...

—|pochyla się i całuje gorąco rękę Jerzego|—

Jerzy.

Panie Tomaszu, jeśli rzeczywiście udało mi się obudzić wasze dusze z uspienia — to one nie zasną więcej nawet po moim odjeździe.

Tomasz Kos.

Więc tak koniecznie nas chcecie porzucić, panie Jerzy? A toć widzicie... my się do was przywiązali. Wy wszystko możecie z nami zrobić. Czy jest jaki król, albo mocarz, coby miał nad nami taką władzę, jak wy, panie Jerzy?

Wystarczy wam ino spojrzeć, ino słowo rzucić...

Jerzy.

Ej nie — tak nie jest — panie Tomaszu. Byłoby tak może, gdyby tu nie byli ludzie, którzy mię często paraliżują w moich działaniach. Taki np. Władysław Pietrzyński ma zupełnie odmienne przekonania i dlatego nieraz niweczy moje zamiary z całą bezwzględnością.

Tomasz Kos —|z zapalem|—

Panie Jerzy — ja tu najstarszy górnik i mam wpływ duży na naszych ludzi. Jeżeli tylko pan zechce, ja daję panu święte słowo uczciwego górnika, że wszystko, co pan każe... Ja nawet, jeżeli pan zechce, ja przysięgam na krzyż zbawiciela, jakem katolik i chrześcijanin, że jakie tylko pan będzie miał zamiary, co tylko pan każe, ja na wszystko gotów — każdy rozkaz wykonam, choćbym miał życie stracić.

Jerzy —|ściskając jego rękę|—

Dziękuję wam.

Tomasz Kos —|składając dłonie|—

Tylko, panie Jerzy — zostańcie z nami. Nie ostawiajcie nas znowu w tej biedzie, w tej ciemności...

Jerzy.

Kochany panie Tomaszu, gdybym tylko mógł... gdybym tylko mógł... wierzcie mi...

—|oglądając się|— No, pomówimy jeszcze o tem w swobodniejszej chwili, bo teraz za wielu świadków.

Tomasz Kos.

Ja już więcej nie będę gadał, proszę pana — ino ten jeden raz proszę...

Marta.

—|która przysłuchiwała się tej rozmowie, stojąc o kilka kroków przy samowarze, odzywa się do ojca podrażnionym głosem|— A niechże się już ojciec tak nie naprzykrza i lepiej do domu idzie.

Tomasz Kos.

Idę, córuchno, idę. Już ja się więcej naprzykrzał nie będę — ino ten jeden raz pana proszę — niech się pan jeszcze zastanowi nad nami, bo



nam tu bez pana będzie źle — gorzej jeszcze jak wpierw, bo wpierw to człowiek nie wiedział i ani nawet nie pomyślał — a teraz...

Marta.

Niechże już ojciec idzie do domu.

Tomasz Kos —|do Jerzego|—

Kłaniam się panu — niech panu Bóg da zdrowie i wszystko, co najlepsze.

Jerzy —|ściskając jego rękę|—

Dobranoc, panie Tomaszu.

—|Podczas powyższej rozmowy scena pustoszeje. Pierwszy wyszedł Szymon Hul — za nim inni górnicy i Damazy. Niektórzy z nich przed opuszczeniem sali załatwiają rachunek z Martą.

Pozostał tylko Władysław, który pod koniec tej sceny zbliża się do mówiących i patrzy ze szczerem współczuciem na starego Tomasza|—

Tomasz Kos.

—|kłania się jeszcze Władysławowi, który mu podaje rękę — poczem zmierza ku wyjściu. U drzwi zatrzymuje się i przez chwilę rozmawia z Martą|—

— o —

#### S C E N A IV.

.Jerzy.

—|do Władysława, wskazując ruchem głowy na oddalającego się Tomasa|—

Sympatyczna starowina — co?

Władysław.

Tak — tak. To jest poprostu wzruszające, jak ten biedny człowiek przywiązał się do ciebie i usiłuje cię zatrzymać... Tak samo i tamci. Chociaż... wiem, że to wszystko daremnie?

Jerzy —|z uśmiechem|—

Zapewne.

Władysław.

Ja już nawet nie próbuję. Za silny jest magnes, który cię do Warszawy ciągnie, prawda?

Jerzy.

O jakim magnesie myślisz?

Władysław.

Nie — nie... Ja tak tylko... wspomniałem. Ja, widzisz, sędzę, że jeżeli tak nagle wyjeżdżasz do Warszawy — to jestto przede wszystkim sprawa twojej narzeczonej Elży Pietrzyńskiej. —|Jerzy poruszył się niezadowolony|— No — przecież możemy już o tem mówić głośno i otwarcie. Jesteście przecież zaręczeni.

Jerzy.

Tak — to prawda; ale zawsze... Mamy przed sobą dużo czasu. Elża jest bardzo młoda, a ja nie mam jeszcze stanowiska, ani odpowiedniej posesady...

Władysław.

Jeżeli ci zależy na dyskrecyi, możesz jej być pewnym z mojej strony. —|rozglądając się|—

No, ale patrzaj; rozeszli się moi chórzyci —|wyjmuje zegarek|— Złe, mój kochany. Dawniej śpiewaliśmy po dwie i trzy godziny, a teraz coraz krócej i coraz mniej amatorów do chóru. Już ich i muzyka nie ciągnie. Złe... Wszystkiemu winne te hałas, które tu urządza.

Jerzy.

Mój kochany — z naszych hałasów przynajmniej jest jakaś korzyść — a z twego śpiewania — co? Tylko sobie gardka zmęczą.

Władysław —|z oburzeniem|—

Wiesz, Jurek — nie dziwię się, że tak mówił Wyszyński, ale że ty to za nim powtarzasz — to już przechodzi moje pojęcie. Powiedz mi, co może być piękniejszego i więcej... więcej uszlachetniającego, podnoszącego duszę — jak muzyka i śpiew.

To jest widzisz, to, co człowiekowi żyjącemu w takich podłych warunkach pozwala zapomnieć choć na chwilę o... o tych wszystkich troskach i krzywdach... i o tej biedzie... co go przenosi w jakieś... wyższe sfery...

Jerzy —|z wesołą ironią|—

Niebiańskie — prawda? Na śpiewanie będzie czas w niebie, jak nas tam puszcza.

Władysław.

Et... szkoda, Jurek, żeś się nie zaprzyjaźnił z Wyszyńskim — skoro mi tak ciągle powtarzasz jego słowa.

—|rozdrażniony — bierze kapelusz i wychodzi|—

Jerzy.

—|oglądając się za okryciem i kapeluszem|—

Czekajże — wyjdziemy razem.

Ha — ha! A to waryat.

—|narzuca na ramiona pelerynę — bierze kapelusz i chce odejść|—

— o —

S C E N A V.

Marta.

—|zatrzymując Jerzego|—

Panie Malicz... pan jeszcze nie zapłacił za herbatę.

Jerzy.

Ach — prawda. Nie zapłaciłem. Jak to dobrze, że panna Marti pamięta, bo ja to jestem tak roztargniony...

—|podaje jej złotą monetę|—

Marta.

—|wysuwając szufladkę z pieniędzmi|—

Nie mogę panu wydać reszty. Czy pan nie ma drobnych?

Jerzy.

Nie mam.

Marta.

I ja także nie mam.

Jerzy.

Ha — to cóż będzie? Pójdę zmienić do sklepu.

Marta —|żywo|—

Nie — nie! Niech pan nie odchodzi.

Jerzy

—|zatrzymuje się i podnosi na nią wzrok zaciekawiony|—

Marta —|zmięszana|—

Przecież pan może zapłacić innym razem.

Jerzy.

—|trochę zniżonym, miękkim głosem|—

Dlaczego mam nie odchodzić, panno Marti? Czy... czy to znaczy, że pani mię chciała zatrzymać tutaj?

Marta —|z krótkim nerwowym śmiechem|—

Co znowu? Czyż miałabym tę śmiałość?

Jerzy.

Ach — zaraz śmiałość... —|po chwili|— Przecież pani nie jesteś tak nieśmiałą... panno Marti.

—|chowa pugilares i bierze kapelusz, zawsze patrząc przenikliwym wzrokiem na Martę|—

Marta.

Nie — ja nie jestem nieśmiałą; pan ma rację. Ale... gdyby tak było jak pan mówi... gdybym pana zatrzymywała — czybyś pan tu został ze mną?

Jerzy —|z galanterią|—

Ależ — naturalnie.

Marta.

I to — chętnie?

Jerzy.

Z prawdziwą rozkoszą.

Marta.

—|patrząc mu w oczy trochę nieufnie|—

Dlaczego z rokoszą?

Jerzy.

Bo... bo dawno pragnąłem spędzić z panią kilka chwil na swobodnej rozmowie.

Marta.

—|po chwili, odgarniając włosy z czoła|—

A... a gdybym zażądała od pana — to jest, gdybym prosiła... bardzo. żeby pan został... wogóle — żeby pan nie wyjeżdżał, a został z nami?

Jerzy.

Ach — znowu ten wyjazd!

Marta.

Czyżby pan został? Proszę powiedzieć.

Jerzy — |z lekkim zakłopotaniem|—

Tego nie wiem jeszcze, panno Marti. Nie mogę powiedzieć ani tak — ani nie. To są rzeczy, które odemnie wprost nie zależą. Nie wiem... nie wiem, jakby się pani wzięła do rzeczy —|patrząc jej w oczy|— W każdym razie — niech pani próbuje.

Marta —|z goryczą|—

Mam próbować...

Jerzy.

Nie wiem, jakby się pani do tego wzięła. Ja wogóle za mało panią znam. Nie wiele rozmawialiśmy ze sobą. I pani także mnie nie zna.

Marta.

Och — to pan się myli — panie Jerzy. Ja pana znam... tak dobrze pana znam, jak chyba nikt inny. Tyle razy pana słyszałam mówiącego na zebraniach. Nie powiedział pan jednego słowa publicznie, którego bym nie słyszała i nie zapamiętała.

Jerzy.

Nie wiedziałem, że mam w pani tak gorliwą słuchaczkę.

Marta —|z gorączkowym podnieceniem|—

Panie Jerzy — jeżeli pan wyjedzie od nas i znajdzie się pan znowu w jakiej kopalni, albo w fabryce, wśród takich samych robotników jak my — niech ich pan lepiej... nie budzi z uspienia. Pan nie wie, co to jest, kiedy człowiekowi zamkniętemu w ciemnej i brudnej piwnicy odsłonią nagle jakieś nieznanne, słoneczne światy, a potem — kiedy się to wszystko zapadnie i znowu jest ta sama ciemność — i znowu trzeba żyć, jak pierwiej.

Jerzy.

Pani mówi do mnie tak, jakby mi pani radziła zaprzestać dalszych agitacji.

Marta.

Nie — nie... Zresztą nie wiem... Może ja się mylę... Cóżby się z na=

mi działało, gdyby nie było takich ludzi jak pan, którzyby nas biedaków otrząsali z tego letargu? Przecież to jedyne światło w naszym życiu... Nie — nie... pan nie powinien zaprzestać! Pan ma taką jakąś boską siłę w oczach i taki cudowny głos...

Pana to może dziwi, że ja mówię tak śmiało, ale... pan już chyba przywykł — przecież każdy kto pana słyszy mówiącego, musi... uwielbiać pana!

Jerzy.

Jeżeli mam być szczery, to powiem pani, że jestem nietylko zdziwiony temi słowami, ale uszczęśliwiony. Więc zawsze słuchała mnie pani z takim zachwytem.

Marta —|unosząc się|—

Panie Jerzy — wszyscy słuchaliśmy pana z zachwytem, ale ja... ja zawsze byłam jak nieprzytomna,, , Ile razy pan mówił, moja dusza była w rękach pana — nietylko w rękach, aleu nóg, jak niewolnica, z którą pan może zrobić wszystko — co pan zechce... —|z bólem|— A teraz... kiedy pan mówi o wyjeździe, to mi tak czegoś straszno... tak mi okropnie żal, że to się już skończy...

Jerzy.

Panno Marti — ja o tem wszystkiem nic, a nic nie wiedziałem.

Marta.

Tak — pan mnie nie zna wcale; pan nie zwracał na mnie nigdy najmniejszej uwagi.

Jerzy.

O! tego to już pani nie może wiedzieć, panno Marti.

Marta —|zdziwiona i uradowana|—

Jakto? czyżby pan kiedy zwrócił uwagę na mnie?

Jerzy.

Tak jest, panno Marti — zawsze, ile razy przechodziłem koło pani; i wie pani, co mnie najwięcej uderzało?

Marta.

Co?

Jerzy.

Te włosy — te ogromne, czarne włosy, które pani dźwiga na główce.

Patrząc na panią myślałem nieraz, jak też pani może podołać temu ciężarowi? I wie pani, jaka mię brała ochota wtedy?

Marta.

—|odruchowo poprawiając włosy|—

Obciąć te włosy.

Jerzy.

Nie — rozwinąć i wziąć w ręce.

Marta.

I... i cóżbyś pan z niemi zrobił, gdybyś je miał w rękach?

Jerzy.

Chce pani wiedzieć, cobym z niemi zrobił?

Marta.

Chcę wiedzieć.

Jerzy.

Ucałowałbym je.

Marta —|zelektryzowana|—

Panie Jerzy... —|ukrywa twarz w dłoniach|—

—|Jerzy chce zbliżyć się do niej, ale Marta po krótkiej chwili wybuchając gorzkim śmiechem|—

Marta.

Ach — rozumiem — rozumiem! Pan ma ochotę pobawić się ze mną! — Naturalnie! powinnam być z góry na to przygotowana! Pan mówi do mnie tak, jakby pan mówił do każdej młodej dziewczyny, któraby w tej chwili stała przed panem.

Jerzy.

Ale — cóż znowu...

Marta —|gorączkując się|—

Ja proszę pana, panie Jerzy, abys ze mną nie mówił jak z każdą, bo ja... inną jestem — Ja czuję inaczej... głębiej... Mnie, jeżeli co zabolę, to jakby mi kto ostry nóż wpychał w serce.

Jerzy.

—|przygryzając wargi w lekkim uśmiechu|—

Ależ, panno Marti — ja właśnie przepadam za kobietami, które czują głęboko...

Marta —|z wybuchem|—

Tak — znowu żarty — zawsze tylko żarty... Ha — ha! przecież powinnam być na to przygotowana — Przecież tacy panowie dobrze urodzeni — nie mogą się odzywać inaczej do dziewczyny z ludu!

Jerzy.

Panno Marti...

Marta.

Ja to przecież wiem dobrze — ja to nawet rozumiem... Przecież ze mnie nic więcej tylko biedna wyrobница — taka sobie zwyczajna nauczycielka małej szkółki — bez wyższego wykształcenia, bez manier... ja to przecież rozumiem. Ja powinnam być nawet wdzięczna, jeżeli taki jasny, piękny pan zechce ze mną pożartować.

Jerzy —|rozdrażnionym głosem|—

Panno Marti — jeżeli mi nie wolno wcale się do pani odzywać, mogę odejść odrazu. Wszystkiego się raczej spodziewałem, ale, że właśnie w tem miejscu, gdzie tyle przeszłem i tyle pracowałem dla... dla tej sfery, z której pani pochodzi — że mię tu właśnie spotka taki zarzut...

Marta.

Panie Jerzy... niech pan jeszcze nie odchodzi.

Jerzy.

—|skłaniając głowę w sztywnym ukłonie|—

Ja myślę, panno Marti, że my już więcej nie mamy sobie nic do powiedzenia.

Marta.

—|nagłym ruchem rzuca się przed nim na kolana, chwyta jego ręce i mówi, okrywając je gorącymi pocałunkami|—

Jerzy, Jerzy! przebacz mi — zostań! Nie gniewaj się na mnie! Ja sama nie wiem, dlaczego ja to wszystko powiedziałam. Nie gniewaj się! Gdybyś ty wiedział, co się ze mną dzieje od pierwszej chwili, kiedy cię poznałam. Jerzy! ja ciebie tak szalenie — tak szalenie kocham...



Jerzy.

Marti — wstań... —|podnosi ją i obejmuje ramieniem|—

Marta.

—|zarzuca mu ręce na szyję i całuje długo|—

Jerzy.

—|po chwili pierwszy próbuje uwolnić się z jej objęć — podnosi głowę silnie oszołomiony i przesuwa dłonią po swych włosach, mówiąc półgłosem|—

Dosyć... —|po chwili|— Jak ty dziwnie całujesz, Marti;— ty byłąbyś zdolną zacałować człowieka na śmierć...

Marta

—|z trudnością dobywając głosu|—

Ja — ja tak pragnęłam tej chwili... tak się długo męczyłam... Jerzy — ja gdybym mogła... jabym ci te usta i te oczy ... zjadła... Jerzy..

—|konwulsyjnie przyciska się do jego ramienia|—

Jerzy.

—|biorąc głowę Marty w obie ręce|—

Marti — pokaż mi twoje oczy. Chcę się wpatrzeć zbliska. Cały nowy świat otwiera się w nich dla mnie. Zupełnie nowy świat...

—|pochyla się, szukając jej ust — Marta ponownie obejmuje jego szyję — poczem nagle wyprostowuje się i czyni ruch taki, jakby się chciała oddalić|—

Jerzy.

—|zatrzymuje ją i pyta zniżonym głosem|—

Marti — kiedy przyjdiesz do mnie?

Marta.

—|po chwili milczenia, opuszczając głowę na piersi|—

Kiedy zechcesz, Jerzy.

—|Jerzy chce podnieść do ust jej rękę, ale Marta nagłym ruchem obejmuje jego szyję i pyta gorączkowo|— Jerzy — ty nie odjedziesz, ty zostaniesz, prawda?

Jerzy.

—|pochylając się ku niej|—

Zostanę Marti — zostanę z tobą.

A K T II.

Obszerny pokój, który jest wspólnym salonem, jadalnią i gabinetem pracy dla Jerzego i Władysława. Po prawej stronie stół do pisania, na którym stoją pęki róż i kwiatów w wazonach. Obok rajsbret stojący z rozpiętym planem technicznym większych rozmiarów. W głębi kredens, dalej szafka z książkami, pianino, na środku pokoju stół otoczony krzesłami — w rogu kanapka. Po lewej stronie wygodna sofa skórzana, ku środkowi sceny wysunięta. Okna z prawej strony i w głębi.

Drzwi z głębi sceny prowadzą na ulicę — z lewej strony do sypialnego pokoju Jerzego i Władysława.

## S C E N A I.

Jerzy leży na sofie z rękami splecionymi pod głową i patrzy w sufit. Przy nim na dywanie opuszczona gazeta.

Władysław wchodzi drzwiami z głębi sceny, z kapeluszem w ręku rozdrażniony i niespokojny.

Władysław.

Czy wiesz, jaką ci wiadomość przynoszę?

Jerzy —|zrywając się|—

Co się stało? mów.

Władysław.

Stało się to, czegośmy obaj byli pewni. Zarząd uląkł się. Wyszyński, Chmieliński i Fussman otrzymali dzisiaj dymisyę i to z wyraźnym żądaniem, aby się usunęli natychmiast.

Jerzy.

Doskonale! — Nie rozumiem tylko — dlaczego jesteś taki wzburzony? Przecież ich znowu tak bardzo nie ukochałeś.

Władysław.

Słuchaj dalej. Jak się tylko ta wiadomość rozeszła po kopalni — Szymon Hul zebrał górników na placu i przekonał ich, że to nie jest dostateczna zapłata za wszystkie zbrodnie, że krzywda górników domaga się jakiejś doraźnej zemsty — wiesz, jak to on zawsze...

Jerzy —|niecierpliwie|—

I co dalej? mów prędko.

Władysław.

Więc postanowili urządzić zasadzkę i wszystkich trzech przed wyjazdem kijami obić.

Jerzy.

Kijami obić? Hm — wiesz, że to niedobra sprawa. To może się skończyć śmiercią którego z nich. I tyś pozwolił, żeby im ten wściekły Hul w głowach przewracał? No, wiesz Władek — że ja cię lepiej sądziłem. — Zamiast mi dać znać odrazu...

—|oglądając się za kapeluszem|— Jeżeli się jeszcze nie rozeszli...

Władysław —|zatrzymując go|—

Czekajże — dokąd pędzisz? Myślisz, że tam nie byłem? Byłem, mój kochany — i jedyny rezultat, jakiego mogła dopiąć tak marna kreatura, jaką ja jestem — osiągnięty. Powołałem się na ciebie. Wezwałem ich, aby przed jakimkolwiek zamierzonym gwałtem do ciebie się odnieśli.

Jerzy.

Zgodzili się?

Władysław.

A jakże... Przecież twój wpływ jeszcze nie upadł. Za chwilę ma tu przyjść delegacya, aby ci przedstawić szlachetne postanowienie obicia owych trzech sztygarów.

Jerzy —|podając mu rękę|—

Dziękuję ci serdecznie.

Władysław —|niechętnie|—

Nie potrzebujesz mi dziękować. Zrobiłem to przecież nie przez miłość dla ciebie. Tylko pamiętaj Jurek — jeżeli teraz będzie w kopalni jakie piekło...

Jerzy —|klepiąc go po ramieniu|—

No — nie gderaj, stary — nie gderaj. Cóż ja tu właściwie winien jestem. Moja rada była przecież zupełnie słuszna; sam mi to przyznawałeś.

Władysław.

Niech i tak będzie — zresztą... już dosyć o tym temacie. Ja swoje zrobiłem — teraz na ciebie kolej, — a tymczasem mówmy o czym innym. Miałem w kopalni zgryzot i kłopotów wyżej uszu — a przede wszystkim jestem

głodny —|idzie do kredensu — wyjmuje koniak i przekąski|—

Jerzy —|po chwili|—

Słuchaj — Władek — mógłbyś mi jeszcze opowiedzieć przebieg tych rozpraw na placu.

Władysław.

Ani myślę. Gdybyś nie był próżniakiem, a przyszedł w swoim czasie do kopalni — wiedziałbyś wszystko.

Jerzy.

Ba — gdybym nie był próżniakiem... Wiesz co? zamiast gderać — nalej mi lepiej koniaku.

—|Władysław bierze flaszkę i nalewa. Piją obaj|—

Władysław.

—|podając mu przekąski|—

Co będziesz jadł?

Jerzy.

Nic — nic... Nie mogę... — |przechadza się nerwowo po pokoju|— To najgorsze, że ja czuję dzisiaj jakąś dziwną posuchę w mózgu. Nie mam pojęcia, co będę mówił do owej delegacyi. Zdaje mi się, że kilku zdań nie skleję.

Władysław.

Ha — przygotuj się; pomyśl...

Jerzy —|zawsze chodząc po pokoju|—

Nie — dzisiaj mi nie pójdzie. Czuję jakąś gorączkę.

Władysław —|z lekką ironią|—

Ja myślę, Jurek, że ty właśnie najlepiej przemawiasz wtedy, kiedy masz gorączkę.

Jerzy.

Tak, ale dzisiaj, to jakaś inna gorączka. Jestem przede wszystkim zmęczony — śmiertelnie zmęczony —|po chwili|— Trzeba się jeszcze napić koniaku —|idzie do kredensu i pije znowu, poczem mówi|— Nie masz pojęcia, jaki ja jestem dzisiaj zmęczony.

Władysław.

No — bo też takie życie, jakie teraz prowadzisz. Nocą nie sypiasz — dniem prawie nie wychodzisz z mieszkania.

Jerzy —|jakby do siebie|—

Co jabym dał za chwilę ciszy i spokoju.

Władysław.

Ciszę możesz mieć zawsze. Ja zaraz odchodzę. Połóż się na sofie i odpoczywaj — co zresztą — nawiasem mówiąc — od kilku dni stale już praktykujesz.

Jerzy.

Nie — ja mówię o innej ciszy — o tej moralnej... —|przyciska skrośnię rękami|— Gdyby nie było tych wszystkich myśli, które jak piekielny rój owadów rzucają się na mózg — kłują, męczą...

Wiesz, Władek? ja myślę, że właśnie lepiej o żadnych przemowach nie myśleć — nie przygotowywać się, ale zająć umysł jaką inną robotą. Mam kilka listów do napisania. —|idzie do biurka — wyjmuje papier listowy, bierze pióro i zaczyna pisać|—

Władysław.

Hm — hm... Ja się wcale nie dziwię, że jesteś zmęczony —|przechadza się po pokoju, nucąc półgłosem — po chwili zatrzymuje się przed biurkiem i mówi, patrząc na kwiaty, stojące na niem|— No — no! jak na kawalerski stół — to wcale pięknie przystrojony. Wszystkie róże naszego Zagłębia powędrowały na twoje biurko.

Jerzy —|niecierpliwie|—

Nie drwij, Władek. Mnie już ten zapach i tak za gardło ściska. Wiesz dobrze, że sam tych róż nie zrywałem.

Władysław.

Wiem, a jakże — wiem... —|w dalszym ciągu chodzi po pokoju — nagle zbliża się do sofy i z zaciekawieniem podnosi leżący na dywanie czerwony szalik|—

Ale... ale... widzisz — Jurek? twoja bogdanka zostawiła ci na pamięć swój szal ponsowy. Trochę pachnie suteryną i wódką.

Jerzy.

Znowu zostawiła? Nie mogę jej tego nauczyć, aby pamiętała zabierać

ze sobą wszystko, co do niej należy. — To może do wściekłości doprowadzić.

—|bierze chustkę z rąk Władysława i wyrzuca przez otwarte okno| —

Władysław.

No — no... Gdyby to widziała panna Marti — powiedziałałaby ci, że nie stać ją na wyrzucanie chustek przez okno.

Jerzy.

Zawsze to samo! Dzień w dzień ta przeklęta chustka na mojej sofie. —|silnie zdenerwowany siada znowu przy biurku i zabiera się do pisania|—

Władysław.

—|po chwili, stając za plecami Jerzego|—

Słuchaj, Jurek — ja chciałbym tylko jedną rzecz wiedzieć. Wobec tego wszystkiego, co robi na twojem biurku fotografia mojej kuzynki Elży?

Jerzy.

Fotografia Elży? Wiesz, że to dziwne pytanie. Przed rokiem kazałem ją oprawić własnym kosztem i postawiłem w tym miejscu. Ciekaw jestem dlaczego ci teraz przeszkadza?

Władysław.

Powiedz mi prawdę, Jurek: czy ty już zerwałeś z Elżą, czy też w dalszym ciągu kudzisz ją i okłamujesz?

Jerzy.

Jakto okłamuję?

Władysław.

No — nie będę owijał rzeczy w bawełnę. Wiesz, że ponieważ mieszkamy razem — te ciągłe wizyty panny Marty nie mogą być dla mnie tajemnicą. Ja tu naprawdę nie mam prawa się wtrącać. Slubu z Elżą nie zawierałeś, więc jesteś wolny. Chciałbym tylko wiedzieć, czy na jej częste listy odpisałeś jej wreszcie uczciwie i prosto, że kochasz inną?

Jerzy —|podrażnionym głosem|—

Mój kochany — zupełnie niepotrzebnie występujesz w roli opiekuna względem Elży. Elża jest pełnoletnia, przytem przywykła do samodzielności i w każdym wypadku da sobie radę bez ciebie.

Władysław —|patrzac przez okno|—

Powrócimy jeszcze do tej rozmowy, ale tymczasem musimy ją przerwać. Idą tu delegowani: trzech górników — a wiesz, kto na czele? Szymon Hul. Miła niespodzianka dla nas. Przygotuj się, Jurek — bo z tym Hulem nie pójdzie tak łatwo. Czy wolisz może, żebyśmy wyszedł?

Jerzy.

Nie — nie; zostań. Będziesz mi pomocą.

— o —

S C E N A II.

Wchodzą: Szymon Hul, Bielicki, Staniszak i Kulis.

Jerzy.

—|podając rękę każdemu z osobna|—

Witam was, moi panowie. Możemy sobie powinszować zwycięstwa. Nasze żądania co do joty spełnione. Czemże mogę służyć?

Szymon Hul —|z ukrytym jadem w głosie|—

My, proszę pana, przyśliśmy tu tylko dlatego, aby przypomnieć panu te słowa, które pan był łaskaw do nas powiedzieć przed miesiącem, a któreśmy dobrze zapamiętali, jak wszystko, co pan do nas mówi.

Jerzy.

Jakież to były te moje słowa?

Szymon Hul.

Przed miesiącem przemówił pan do nas, że każdy taki, coby naszą godność zdeptał, niech sam będzie zdeptany.

Jerzy.

—|blednie i przycina wargi|—

Szymon Hul.

To proszę pana, my się nad tem zastanawiali i przyszliśmy do takiego przekonania, że wydalenie, to jeszcze nie jest zdeptanie. Po wydaleniu to oni mogą jeszcze lepszą posadę dostać i jeszcze się dorobić — a nasza krzywda krzywda zostanie. To my, proszę pana, przyszli do takiego przekonania, że my za swoje musimy zapłacić. Niech szelmy poczują na pożegnanie, co to jest twarda pięść górnika. Niech mają szakale pamiętkę

na całe życie za to wszystko złe, cośmy od nich wycierpieli.

Jerzy.

—|ściągając brwi, zwraca się do pozostałych górników|—

Czy wszyscy jesteście tego samego zdania?

Staniszek.

Tak jest, proszę pana.

Bielicki.

Wszyscy my tak samo postanowili.

Jerzy.

Przedewszystkiem, moi panowie, muszę wam powiedzieć, że wyrządziliście mi dzisiaj niesłychaną przykrość — skrzywdziliście mnie nawet, najnieśluszniej w świecie. Nie wątpicie chyba o tem, że odkąd tu jestem zawsze całą duszą służyłem waszej sprawie. Przed miesiącem odtrąciłem ofiarowaną mi posadę i karierę tylko dlatego, aby w dalszym ciągu służyć wam moją pomocą i radą.

Władysław.

—|na te słowa syknął przez zęby — poczem mierzy pokój wszczepionymi nerwowymi krokami|—

Jerzy.

Zdaje mi się więc, że zasłużyłem na to, abyście mnie od waszych narad nie odsuwali. Jednakże dzisiaj zebraliście się w celu obmyślenia nowego planu i nawet nie otrzymałem od was żadnego wezwania, abym wziął udział w waszych naradach. Czyżbym tak prędko wasze zaufanie stracił?

Staniszek.

Proszę pana, pan nas źle sądzi.

Bielicki.

Większego zebrania to dzisiaj nie było — ino tak my się zeszli przypadkiem.

Szymon Hul.

To proszę pana, nasza krzywda nas do tego skłoniła!

Kulis.

My nic naprzód nie układali i dlatego też nie wzywaliśmy pana.



Bielicki.

A swoim porządkiem przychodzimy teraz przedstawić panu nasze postanowienie, aby też i pan swoje o tem powiedział, bo my bez pana nic robić nie będziemy.

Jerzy.

Ja żądam od was bezwzględnego zaufania, bo tylko w takich warunkach mogę działać na waszą korzyść. Gdyby było inaczej, musiałbym wycofać się zupełnie z dotychczasowej mojej działalności.

Staniszek.

Zaufania naszego pan nie stracił i nie straci nigdy.

Bielicki.

Komuż byśmy mieli ufać, jak nie panu.

Jerzy.

A zatem słuchajcie moi panowie: ja pierwszy wprowadziłem na porządek dzienny sprawę wydalenia tych trzech sztygarów, aby was uwolnić od waszych katów i gnębicieli. Niech więc przy mnie zostanie w dalszym ciągu ukaranie winnych i pomszczenie waszej krzywdy. Chcę całą sprawę poprowadzić tak, aby żaden z was nie był narażonym na złe następstwa tej zemsty i dlatego muszę przed wami nawet zachować tajemnicę.

Szymon Hul.

Proszę pana — my się na to zgodzić nie możemy.

Jerzy —|ostrym tonem|—

Niechaj pan Szymon Hul nie narzuca swoim towarzyszom na każdym kroku swego zdania.

Szymon Hul.

Bo to, panie Malicz — pan sam krzywdy nie doznał...

Jerzy.

—|nie zważając na Hula, zwraca się do Staniszaka i Bielickiego i mówi stanowczym głosem|—

Moi panowie — czytam w waszych twarzach, że mi nie odmówicie tego dowodu zaufania.

Bielicki.

Proszę pana — my tego nie powiadamy, żebyśmy mieli panu odmówić.

Jerzy.

Będziecie pomszczeni, ale w taki sposób, że żaden z was na złe następstwa tego kroku narażonym nie będzie. Zależy mi na tem bardzo, przez wzgląd na was samych — zależy mi bardzo i — z naciskiem — proszę was o to.

Bielicki.

Ja myślę tak, że jak pan obmyśli, to napewno będzie dobrze.

Szymon Hul.

Jednakowoż zawsze to co innego, kiedy człowiek skrzywdzony sam się o swoje upomina...

Jerzy.

— podając rękę Staniszakowi, Bieliickiemu i Kulisowi —

Dziękuję wam, moi drodzy, za ten nowy dowód zaufania. — A teraz kwestya wydalonych sztygarów zamknięta. Usiądźcie, moi panowie, i rozpocznijmy rozmowę na inny temat.

Bielicki.

— trochę onieśmielony, patrząc na swoją odzież wytartą i brudną —

Tylko, że to panowie pewno mają zajęcie...

Szymon Hul.

Ja myślę tak, że my się tu nie mamy po co rozsiadać — bo to dzisiaj nie święto i każdy ma swoje do roboty. Panowie swoje — a my też swoje. Kłaniamy się panom.

Jerzy — podając im rękę —

Żegnam was.

— górnicy odchodzą —

— o —

### SCENA III.

Jerzy.

— po odejściu górników, oddycha ciężko — przesuwa dłońmi po włosach — poczem wyczerpany rzuca się na sofę, mówiąc —

No — wreszcie załatwiona sprawa. Jestem dzisiaj zmęczony, jak pies.

Władysław.

Słuchaj, Jerzy... ja... dobrze nie rozumiem, co to wszystko miało znaczyć. Więc ty podjąłeś się... obicia kijami Wyszyńskiego, Fussmana..?

Jerzy —|przerywając mu|—

Mój kochany — nie męcz mnie tem badaniem, bo i tak już ledwie żyję. Gdybyś miał trochę więcej sprytu, zamiarkowałbyś odrazu, że to była tylko gra z mojej strony; rozpaczliwa próba wyzyskania tej ufności, czy sympatii, którą sobie u nich zdobyłem. Podjąłem się sam tej głupiej zemsty, ale... rzecz naturalna, wcale jej nie myślę wykonywać.

Władysław.

Czyli — nazywając rzeczy po imieniu: okłamałeś ich.

Jerzy.

Niech i tak będzie, ale nie miałem innej drogi — Wolę to, jak dopuścić do zbrodni.

Władysław.

No, ależ przecie — jeśli wierzysz w twój wpływ nad nimi, mogłeś ich przekonać.

Jerzy.

Nie, nie — mój kochany. Ja jestem doskonałym psychologiem — ja wiem odrazu, kiedy i jaką drogą zwyciężyć mogę. Jak tylko mi ten wściekły Hul wspomniał o tem zdeptaniu —|jak to się czasem w zapale oratorskim coś niepotrzebnego wyrwie|— poznałem odrazu, że jeżeli wpadnę w ton moralizujący, jestem zwyciężony. Ta żądza zemsty, która się w nich obudziła, musi mieć pewne zadośćuczynienie, pewien żer, że tak powiem — jak długo naturalnie — owi przekłęci sztygarzy są na miejscu. Trzeba się starać, mój kochany, żeby jaknajprędzej wyjechali.

Władysław.

Tak — to przedewszystkiem.

Jerzy.

Skoro się ich raz pozbędziemy — w kopalni nie będzie już więcej mowy o nich.

Wiesz co, Władek? ja jestem skrepowany; nie mogę się z nimi znosić, bo to obudziłoby podejrzenia, ale ty, który zachowałeś się w tej całej

sprawie neutralnie — mógłbyś ich zawiadomić o niebezpieczeństwie. Niech czempredzej wyjeżdżają, choćby dzisiaj...

Władysław —|patrzac na zegarek|—

Naturalnie, że tak zrobię, ale bynajmniej nie dlatego, że to leży w twoich genialnie obmyślanych planach.

Jerzy —|z westchnieniem ulgi|—

Przynajmniej raz będę miał w tobie jakąś pomoc.

Władysław —|podrażnionym głosem|—

Słuchaj — Jurek: powiem ci teraz otwarcie, że te twoje dzisiejsze machinacje z tymi ludźmi są dla mnie poprostu wstrętne.

Jerzy —|obojętnie|—

Ha — nie wiesz, czy i dla mnie samego nie są równie wstrętne.

Władysław.

Jeśli ci mam powiedzieć prawdę — popełniłeś dzisiaj podwójny występpek.

Jerzy.

Występek, podłość, zbrodnię — co chcesz, tylko mię już nie męcz dłużej.

Władysław.

Po pierwsze okłamałeś ich — po drugie... widząc tę obudzoną w nich przez Hula, mściwość... tę... poprostu zwierzęcą żądze...

Jerzy.

To jest żywioł, mój kochany. Stłumić go nie można, chyba podstępem ujarzmić, co właśnie uczyniłem przed chwilą.

Władysław.

Więc, widząc w nich to haniebne uczucie — zamiast... zamiast uwolnić ich z objęć tego potwora...

Jerzy —|wesoko|—

Ha — ha! Jaki ty jesteś paradny, Władek, kiedy wpadasz w ten twój patos. — Żebyś ty się przynajmniej nie jakał.

Władysław —|z goryczą|—

Tak — ja wiem, że się jakał — ja nigdy nie umiem wypowiedzieć tego,

co czuję. Ja... mogę mieć w duszy coś, co mnie dniem i nocą męczy... co mnie poprostu rozsadza, a nie potrafię tego wydobyć z siebie. Ale za to tacy ludzie, którzy nietylko nic nie czują, ale nawet... nawet nie mają żadnych przekonań...

Jerzy —|dotknięty|—

Mój kochany, jeżeli to stosujesz do mnie... Kto ci dowiódł, że ja we wszystkich moich przemowach nie wypowiadam właśnie moich najgłębszych przekonań.

Władysław.

Jerzy, znikuj się! przecież widzisz, do kogo mówisz! przecież znamy się od dzieci.

Jerzy.

No — tak, znamy się; ale cóż stąd? Mogłem się przecież zmienić. Ja ci nawet daję słowo, że zmieniałem przekonania. Przecież nawet nie mogło być inaczej.

Władysław.

Mój drogi — jeżeli cię się udało samego siebie okłamać — to mnie nie okłamiesz, bądź tego pewien. Za dobrze cię poznałem i za wiele twoich mów słyszałem w życiu. Skoro już mówimy dzisiaj zupełnie otwarcie, to ci przypomnę nasze studenckie lata. Młodość tak samo szalała za tobą, tak samo wyła z zachwytu przy wszystkich twoich mowach... A na jakie hasła brałeś nas wtedy — co?

Jerzy.

Et — już sam nie pamiętam.

Władysław.

Ale — ja pamiętam: żyć — to znaczy — używać życia. Żadnych obowiązków, ani względem jednostek, ani... względem ogółu. Wolna rozkosz... wolna miłość...

Jerzy.

Ach — poco tam wyciągać dawne dzieje!

Władysław.

To były hasła Sybaryty i Epikurejczyka; ale wiesz, że ja cię wolałem wtedy, bo... przynajmniej byłeś szczery, a teraz...

Jerzy.

Teraz co?

Władysław.

Teraz rozpalasz... roznamiętniasz te tłumy — a sam... w duszy jesteś chłodny jak... jak kamień.

Jerzy.

Mój kochany — zaraz znać, że na polu psychologii jesteś nieukiem. Czy ja mógłbym do tego stopnia porywać słuchaczy, gdybym przede wszystkim sam nie doznawał jakiegoś szału? Już ja ci zaręczam, że ile razy przemawiam, wpadam w taki zapał, o jakim ty pojęcia nie masz.

Władysław.

Tak, ale ty się zapalasz tylko tak, jak namiętny gracz zapala się do swojej gry. Ty przed chwilą dobrze określiłeś to wszystko, co z tymi biednymi ludźmi wyrabiasz — to jest gra, nic więcej; ale gra niebezpieczna i... okrutna, bo ty grasz na namiętnościach ludzkich.

Jerzy —|z uśmiechem|—

Masz rację. Gram na najniebezpieczniejszym ze wszystkich żywiołów, ale to jest jednak szalona rozkosz.

Władysław.

Tak — tak; to właśnie! To jest dla ciebie rozkosz. Ty się tu bawisz — używasz życia. Ty w gruncie jesteś zawsze tym samym Sybarytą — nie zmieniłeś się ani trochę...

Jerzy —|kładąc mu rękę na ramieniu|—

Mój kochany — czy ty mnie nie sądzisz za surowo. Powiedz tylko, czy wyobrażasz sobie człowieka, któryby posiadał ten dar hipnotyzowania tłumów i nie korzystał z niego?

To jest bądź, co bądź szalona rozkosz: widzieć, jak za jednym moim słowem, niby za jakimś czarodziejskim zaklęciem, wyziera nagle z tysięcy oczu — ten żywioł, ta spętana dusza ludzka, która się do czegoś rwie — czegoś szuka, a potem... czołga się do moich stóp, jakby uznając we mnie swego władcę — to jest szalona rozkosz i widzisz — przychodzą chwile, że człowiek nie może sobie tego odmówić.

Władysław.

Wierzę ci, Jerzy, ale powiedz mi, dlaczego te głupie tłumy za takim

jak ty, szaleją... w ogień ci ludzie poszliby za tobą — a człowiek, któryby z całym poświęceniem... któryby duszę oddał dla nich... nie może sobie zdobyć żadnego wpływu — niema żadnych... żadnych sił...

Jerzy.

Hm — mój kochany — pytasz mnie o to tak, jakbym ja był temu winien.

Władysław.

Tak — naturalnie, że ty temu winien nie jesteś — ale... Jerzy, ty który nic nie czujesz, a tyle mówisz, ty nie wiesz, co to znaczy mieć w sobie całą otchłań uczucia, a zawsze milczeć, kiedy inni mówią.

Jerzy —|po chwili|—

Hm... hm... Słuchaj, Władek: ty mnie musisz jednak serdecznie nienawidzieć.

Władysław.

Nie Jerzy — ale powiem ci prawdę:— są chwile, w których chciałbym cię nienawidzieć.

Jerzy.

Chciałbyś, a nie możesz?

Władysław.

Bądź tego pewien, że nienawidziłbym cię z całej duszy, gdyby ciębie wogóle można było nienawidzieć.

Jerzy.

Albo — gdybyś ty był do nienawiści zdolnym. Ty na to jesteś za dobry. — A co do mnie... trudno —|kładąc rękę na ramieniu Władysława|— Władek — jakim jestem, takim jestem. Ty chciałbyś mnie nienawidzieć, a ja... wiesz — są chwile, że chciałbym i to serdecznie chciałbym mieć w tobie przyjaciela.

Władysław.

To bardzo pochlebne dla mnie. Ale... skąd ci to przyszło? Przecież ty chyba na brak sympatii i przyjaźni ludzkiej skarżyć się nie możesz.

Jerzy —|ściągając czoło|—

Ja się nigdy nie skarżyłem, a jednak teraz... bierze mnie chwilami taka szalona ochota poskarżyć się...

Władysław.

—|patrzac na niego uważnie|—

Hm. — ja to uważam dobrze, że od kilku tygodni chodzisz jak stru-  
ty, a wyglądasz jak półtora nieszczęścia. W ostatnich czasach nawet...  
nawet już nie gadasz na żadnym zebraniu...

Jerzy —|z nagłym wybuchem|—

W ostatnich czasach wszystko mi obrzydło, a moje życie stało się  
dla mnie prawdziwą katorgą!

Władysław.

A to znów dla czego?

Jerzy.

—|nie odpowiada — zmęczonym ruchem opuszcza się na krzesło|—

Władysław.

—|patrzy na niego badawczo i mówi dalej z lekką ironią|—

Czyżby dlatego, że zdobyłeś sobie młodą i niebrzydką kochankę, któ-  
ra za tobą szaleje. Ja byłem najmocniej przekonany, że to dla ciebie  
nowa gra i nowa rozkosz.

Jerzy —|z gorzkim śmiechem|—

Rozkosz...!

Władysław.

Więc... w takim razie... dlaczego ją uwiodłeś?

Jerzy.

—|Ja ją uwiodłem? Ona sama...

Władysław.

Ona sama?

Jerzy.

Ty powiadasz, Władek, że ty nie masz żadnej siły. To nieprawda —  
wierzaj mi, ty masz więcej sił odemnie. Tybyś, np. na mojem miejscu nie  
dał się tak opanować.

Władysław.

Dziwne to wszystko.



Jerzy.

Rzuciła się na mnie z taką jakąś... furją... Może, gdybym się był oparł — ale przecież... jestem młody... To był chwilowy szak krwi — nic więcej; taki nawet potworny szak, a potem...

Czy ty doznałeś kiedy, Władek, — czy ty wiesz, co to jest przesyty? Jeżeli nie — nazwij się najszczęśliwszym człowiekiem w świecie. To jest haniebne uczucie — najgorsze ze wszystkich: Każde inne uderza cię, kałeczy, rani, a ono tylko owija się dokoła twoich piersi jak brudne, oślizgłe szmaty. Próbujesz to zedrzeć z siebie — daremnie... Dusisz się i omdlewasz w tym ohydny powijaku — to straszne.

Ta namiętność; której się człowiek poddaje ze wstrętem — czy ty pojmujesz znaczenie tego wyrazu? ze wstrętem?

Władysław.

Nie rozumiem. Jeżeli ona sama rzuciła ci się na szyję — to przecież masz prawo w każdej chwili powiedzieć jej, że chcesz zerwać.

Jerzy.

Może i mam prawo. Ale na to trzeba walczyć, a ja teraz walczyć nie mogę. Wyczerpany jestem. Ty nie wiesz, jak taka rzecz może wysssać wszystkie siły, całą energię — obezwładnić człowieka. Ona mię swoją gwałtownością zalewa, zadławia — musiałbym ją jakimś okropnym wysiłkiem odpechnąć, a ja tych sił nie mam. Te wszystkie sceny — to piekło... Już wolę znosić to, co jest — jak walczyć.

Władysław.

No — jeżeli sprawa ze sztygarami dobrze się zakończy, możesz wyjechać.

Jerzy.

Byłbym już może wyjechał, gdyby nie te plany, — [wskazuje na papiery wyciągnięte na rajsbrocie] — których się podjąłem, a z którymi nie mogę się uporać. Jestem teraz zupełnie niezdolny do pracy.

Władysław — [po chwili] —

Jurek — powiedz mi jeszcze... A z Elzą zerwałeś?

Jerzy.

Nie.

Władysław

—|poruszył się z oburzeniem|—

Jerzy.

Władek — zrozumże mnie przecież. Ja teraz nie mogę z nią zerwać. Im więcej Marta zamęcza mnie swoją natrętną miłością — tem więcej tęsknię do Elży i temwięcej ją kocham. Ja ciągle myślę o niej, jak o tej jedyniej, któraby mnie mogła wyciągnąć z tego błota, wrócić mi dawne siły. Ty nie masz pojęcia, jak mi potrzeba teraz miłości czystej, spokojnej— bez wybuchów... I ja się mam dobrowolnie tej miłości pozbawiać?

Władysław.

Hm... zawsze tylko siebie masz na myśli. Ale ty chyba nie znasz Elży. To dziewczyna samodzielna i energiczna; pisała mi niedawno, że jeżeli ją zostawisz bez wiadomości o sobie — przyjedzie sama, aby odkryć całą prawdę.

Jerzy.

Ach — nie. Co znowu? Napiszę do niej zaraz. Uspokoję ją.

Władysław.

Mój kochany — zamiast na wszystkie strony ludzi okłamywać — radziłbym ci raz wreszcie zebrać siły i postanowić: na prawo albo na lewo.

Jerzy.

Tak, ale jeśli tych sił niema... Wiesz, Władek — mam wrażenie, że mi w mózgu zanikły wszystkie komórki woli.

Władysław.

Jesteś chory, czy co?

Jerzy.

Może i chory — ja już sam nie wiem.

Władysław

—|nerwowym krokiem chodząc po scenie|—

Dziwne to wszystko... —|patrzy na zegarek|— no, ale ja już idę, Ju=rek.— Wiesz w jakiej sprawie.

Jerzy

—|podając mu rękę|— Mój drogi, staraj się szczęśliwie rzecz całą

załatwić i namówić do wyjazdu tych trzech utrapionych bałwanów.

—|Władysław bierze kapelusz i odchodzi|—

o

S C E N A IV.

Jerzy

—|sam — ociera pot z czoła, siada na sofie — wyjmuję list z kieszeni i przegląda, następnie podnosi się nerwowo, idzie do biurka, bierze pióro, siada — po chwili zrywa się znowu i odrzuca pióro mówiąc|—

Co ja jej właściwie będę odpisywał?

—|przechadza się po pokoju, wreszcie kładzie się na sofie i zamyka oczy, przyciskając czoło splecionymi dłońmi|—

Marta.

—|wchodzi bez szelestu w lekkiej, czerwonej sukni i szerokiej pastercie — zdejmuję kapelusz, poczem z uśmiechem idzie do Jerzego, pochyla się nad nim i całuje.

Jerzy —|zrywając się nerwowo|—

To ty, Marti? Tyle razy ci mówiłem, że nie lubię tych niespodzianych pieszczot.

Marta —|wesoło|—

Nie lubię... nie lubię... Dużo mię to obchodzi, czy ty lubisz, czy nie lubisz. A ja właśnie najlepiej lubię całować cię, kiedy się tego nie spodziewasz — i najwięcej kocham mego pana, kiedy jest zły i rozkapryszony, jak w tej chwili.

No, a teraz sam mię pocałuj.

Jerzy.

—|lekko dotyka ustami jej twarzy|—

Marta.

Ach — cóż to za całowanie takie! Chcesz, abym cię nauczyła, jak całować powinni zakochani? —|obejmuje ramionami jego szyję|—

Jerzy

—|uwalniając się z jej objęć|—

Ach — Marti! zadusisz mię.

Marta.

Żeby ja tak mogła zawołać, kiedy mnie całujesz; Jureczku, zadusisz mnie: jakże byłabym szczęśliwa! Ale ty zawsze ten sam delikatny panicz — lalusz porcelanowy... Fe — to brzydko, mój kochany!

Powiedz mi, jakim cudem mogłabym wlać w siebie więcej życia. Ale ty dawniej takim nie byłeś... dopiero teraz... Powiedz mi, Jureczku — co tobie jest?

Jerzy.

Nic mi nie jest;— zdaje ci się tylko.

Marta.

Może to z rodziną jakie przykrości, dlatego że odrzuciłeś posadę, aby tu pozostać?

Jerzy.

Tak — właśnie z tego powodu mam mnóstwo przykrości... nieszczęść, zgryzot... i potem — tutaj tyle kłopotów...

Marta.

Biedaczysko moje! Wiesz co, Jureczku? na te wszystkie kłopoty na= pijmy się koniaku, albo wódki. Ja bo wolę wódkę. —|idzie do kredensu i wyjmuję flaszkę|— ta wiśniówka, którą ci przyniosłam przedwczoraj, jest doskonała. Kosztowałeś?

Jerzy.

Nic nie kosztowałem i teraz nic pić nie będę. Już piłem dzisiaj koniak.

Marta.

Ale do mnie musisz wypić choć kieliszek. Chodź, Jureczku — nie bądź głupi. Zaraz ci się humor poprawi.

Jerzy.

Nie mogę — powtarzam ci. Głowa mię boli.

Marta.

Ach — co za kozioł uparty! Trudno — jak nie, to będę piła sama, —|pije wódkę i wyjmuję przekąski|— Jak to dobrze, że pan Władysław pamięta zawsze, aby coś było smacznego w waszej szafie. Przyznam ci się, że jestem głodna, jak wilk. Doskonała kiełbasa —|po chwili, idąc do Je=

rzego, który zamysłony siedzi na sofie|— A mój pan zamiast częstować i zapraszać jako gościnny gospodarz — siedzi na kanapie nadęty i zły — taki okrutnie zły... —|siada przy nim|— No, powiedz mi, Jerzy — co to za zmartwienie takie? —|chce go głaskać po twarzy|—

Jerzy

—|odsuwa jej rękę|—

Marta.

Ale... ale... Ja ci nie mówię, a ty może nie wiesz. Słyszałaś o dy= misyi Wyszyńskiego, Chmielińskiego i Fussmana.

Jerzy.

Słyszałam.

Marta.

No i co? Nie cieszysz się z tego zwycięstwa?

Jerzy.

Jest z czego się cieszyć? Wiesz chyba o tym haniebnym pomysle Hu= la?

Marta.

O jakim pomysle?

Jerzy.

Nie słyszałaś, że za namową Hula — górnicy chcieli wszystkich trzech obić kijami?

Marta.

To i cóż? Bardzo byłoby dobrze.

Jerzy.

Jakto, więc tobie się ten pomysł podoba?

Marta.

Naturalnie, że mi się podoba. Ha — ha! jeszcze jak...

Jerzy.

Ależ to byłaby brutalna napaść, która mogłaby się skończyć choro= bą, albo śmiercią którego z nich.

Marta.

Ach — zaraz śmiercią! Wygrzmociliby ich trochę po plecach, toby im zdrowo było. Miałeś się też czym truć, Jerzy!

Jerzy.

No, że cały tłum górników ogłupiony przez Hula zgodził się na to — temu się nie dziwię; ale żebyś ty, odebrawszy przecież jakie takie wykształcenie, była tak wyzuta z wszelkiego pojęcia etyki... Doprawdy, Marti, w takich chwilach...

Marta—|blednąc|—

Co? w takich chwilach... pogardzasz mną może..? — |usuwając się na kolana|— Jerzy, proszę cię, nie pogardzaj mną tak zaraz... Ja to sama czuję, że czasem powiem, coś takiego, co ciebie zraża. Ja staram się być inną, ale mimowoli odzywa się we mnie natura prostej i głupiej dziewczyny. Nie pokłóżaj mi w takich chwilach; — owszem: wymyślaj, bij mię, jeżeli chcesz, ale mną nie pogardzaj, Jerzy i kochaj mię, mimo wszystko...

Jerzy —|znużonym głosem|—

Marti, proszę cię — nie rób tych scen. Przecież ja ci nie mówiłem, że tobą pogardzam.

Marta.

Ale ja to widzę w twoich oczach. O Jerzy, proszę cię — uspokój mię; powiedz mi, że mię kochasz! Jedno dobre słowo mi daj, Jureczku — ja proszę...

Jerzy.

Marti — zmiłuj się! — czy nie widzisz, że jestem dzisiaj zdenerwowany?

Marta.

Widzę to — Jerzy — ale ty teraz ciągle jesteś zdenerwowany — więc ja już przestałam zważać. Wiesz, że ja zawsze tak samo spragniona jestem twoich pieścizot i tak samo cię kocham — nawet wtedy, kiedy jesteś zdenerwowany... nawet wtedy, kiedy mię odsuwasz, bo gdybyś ty wiedział, jaki ty wtedy śliczny jesteś, mój Jerzy — jaka to dla mnie rozkosz chwycić te ręce, które uciekają odemnie i całować tak długo, aż mię nareszcie niemi obejmiesz...

Jerzy —|podnosząc się|—

Marti, żebyś ty wiedziała, jakie to jest... obrzydliwe, kiedy kobieta na każdym kroku się upokarza.

Marta.

—|zrywa się z kolan i mówi po chwili milczenia, przesuając ręką po czole|—

Ty jesteś okrutny, Jerzy. Ty czasem powiesz coś takiego, co jak zimnym nożem przejedzie po sercu. Jeżeli mię kochasz, nie powinienes mi sprawiać takich męczarni.

Jerzy

—|siada przy biurku i opiera się na jego krawędzi|—

Więcej ja cierpię z twojego powodu, niż ty przezemnie — możesz być tego pewna.

Marta.

Co to znaczy, Jerzy? Czy... czy to znaczy, że masz już dosyć mojej miłości, że... że sprzykrzyłam ci się..? —|idzie ku niemu lekko pochylając barki i patrząc mu w oczy|— Co? powiedz, sprzykrzyłam cię się — Jerzy?

Jerzy —|siląc się na śmiech|—

Ależ — Marti — bez najmniejszego powodu zaczynasz mi robić sceny.

Marta —|po chwili z westchnieniem ulgi|—

Bez powodu? czy naprawdę?

Jerzy.

—|sposstrzega list leżący na biurku — bierze go i chowa, starając się, aby ten ruch był niedostrzeżony przez Martę|—

Marta —|zatrzymując jego rękę|—

Co to za list chowasz tak — jakbyś się bał, abym go nie sposstrze = gła? Co to za list? pokaż...

Jerzy

—|starając się uwolnić swoją rękę|—

Marti — zostaw... Nie wrywajże przemocą.

Marta —|zdławionym głosem|—

Musisz mi go oddać, Jerzy — to pewnie list od jakiej twojej kochan=

ki. Muszę go przeczytać.

Jerzy —|odpychając ją|—

Nie oddam ci tego listu. Co za nowy despotyzm z twoje strony? Nic a nic mi na tym liście nie zależy, ale nie myślę wiecznie ulegać twoim fantazyom.

Marta —|dyszcząc ciężko|—

W takim razie... jeżeli ci nic na tym liście nie zależy — podrzyj go i wyrzuć.

Jerzy.

—|po chwili namysłu rozdziera list na drobne kawałki i wyrzuca|—

Masz, co chciałaś. Jeżeli to zrobiłem, to tylko dlatego, aby uniknąć dalszych scen.

Marta —|po chwili|—

Jerzy — powiedz mi jeszcze ... czy ten list — to od niej..?

—|wskazuje na stojącą na biurku fotografię|—

Ja wiem, że ty zawsze jakoś dziwnie patrzysz na tę fotografię — powiedz, czy to od niej?

Jerzy.

Może i od niej — to cię nie obchodzi.

Marta.

Ach — przekłeta fotografia —|chwytając oprawioną w ozdobne ramy fotografię i rzuca na ziemię. Szkło tłucze się na drobne kawałki|—

Jerzy —|z passją|—

Zachowujesz się, jak karczenna dziewczka.

—|podnosi fotografię i chowa do swego portfelu|—

Marta —|chwytając jego rękę|—

Powiedz mi Jerzy, kto to jest? czyja to fotografia, taka dla ciebie droga?! Musisz mi powiedzieć: musisz...!

Jerzy.

—|po chwili uwalniając swoje dłonie z rąk Marty|—

To jest... moja siostra.



Marta.

Twoja siostra? —|po chwili zmienionym głosem|— W takim razie...  
dlaczego nie chciałeś mi pokazać tego listu?

Jerzy.

Bo... bo nie chciałem cię wtajemniczać w różne sprawy rodzinne i  
jeszcze w sprawy osób trzecich dlatego, że ci się podobało nie ufać mi  
i urządzać sceny zazdrości.

Marta.

—|po chwili idąc ku niemu i biorąc jego rękę|—

Jerzy — ja ci wierzę! Taki człowiek, jak ty, nie może kłamać. Ja ci  
wierzę. Przebac mi, Jerzy — przebac ten raz jeszcze! Ty mi musisz prze-  
baczyć, bo ja tak dużo wycierpiałam w tej jednej, krótkiej chwili...

Ta myśl, że ty mię możesz porzucić... Ach — Jerzy — dla mnie te =  
raz... pozostać bez ciebie... Ja... ja nie przeżyłabym tego... —|wybu-  
cha łkaniem i przyciska głowę do jego ramienia|—

Jerzy —|lekko gładząc jej włosy|—

Marti... proszę cię — uspokój się ... nie płacz... Przecież...  
Wiesz co, Marti? Zamiast się tak denerwować i wzajemnie męczyć — może  
co poczytamy? Czas prędzej zejdzie.

Marta —|ocierając oczy|—

Masz skusność — poczytajmy. Ty mi będziesz czytał głośno — dobrze?  
Ja tak szalenie lubię twój głos. Tylko mię jeszcze pierwszej uściskaj; —  
tak serdecznie!

— o —

## SCENA V.

Władysław

—|wpada zadyszany i blady|—

Czy wiesz, co się stało, Jurek?

Jerzy —|przerażony|—

Co tam znowu?

Władysław.

Ledwie od ciebie wyszli — Hul znowu zebrał kilkudziesięciu górników

na placu i przekonał ich, że obicie kijami nie wystarczy, że trzeba wszystkich trzech sztygarów powiesić.

Jerzy.

Co ty mówisz?

Marta.

Jezus Marya!

Władysław.

Tłum rozwścieczony do ostatnich granic. Lećże na miłość Boską, może co jeszcze poradzisz.

Hul obaławanił ich tak, że zupełnie z nimi gadać nie można. Waryaci — nie ludzie — do wszystkiego zdolni. Już teraz bym się wcale nie dziwił, gdyby cała kopalnia i wszystkie warsztaty z dymem poszły. Śpiesz się — może co jeszcze poradzisz. Na mnie się nie oglądaj; ja idę wezwać kilku starszych. Spiesz się, Jurek, bo każda minuta droga —| odchodzi|—

Jerzy.

Idę — idę —| gorączkowo szuka kapelusza — bierze okrycie i laskę — idzie do drzwi — kładzie rękę na klamce i zatrzymuje się nagle|—

Co ja im powiem..? Daremnie... wiem, że to daremnie. Ja... wyczerpałem się —| upada na najbliższej stojące krzesło i opuszcza głowę na pierś|—

Marta.

Ja także myślę, że to daremnie, Jerzy. Oni tam są zanadto rozwścieczeni. Nie warto nawet próbować. To się już musi stać.

Jerzy —| zrywając się|—

To się nie może stać! Ja do takiej zbrodni dopuścić nie mogę. Rozumiesz, Marti?

—| chodzi nerwowym krokiem po scenie|—

Nie widzę innej drogi wyjścia. Trzeba dać znać dyrektorowi. To jest ostateczność, ale innej drogi nie ma. Niech obmyślą środki ostrożności. Trzeba dać znać dyrektorowi.

Marta.

Pójdiesz sam do dyrektora?

Jerzy —|zatrzymując się u drzwi|—

Poszedłbym, ale... ledwie się pokażę na dziedzińcu — zaraz tłumy ludzi wokoło mnie... oblegną mię, zatrzymają... To okropne, być takim niewolnikiem. Mnie poprostu trudno z domu się ruszyć —|patrząc przez okno|—

Już nawet tu — pod moimi oknami się kręca.

Trzeba kogoś posłać; kogoś takiego, żeby nie zauważyli. Słuchaj — Marti — sprowadź mi tu twego ojca — tylko prędko... śpiesz się.

Marta —|biorąc kapelusz|—

Idę, mój drogi — leczę. Ojciec tu będzie za parę minut.

—|wychodzi szybko|—

— o —

## SCENA VI.

—|Za sceną oddalony gwar głosów|—

Jerzy.

—|rzuca niespokojne spojrzenie w okno, idzie do drzwi w głębi, zamyka je na klucz — poczem mówi, rzucając się na sofę|—

Jakiś piekielny dzień dzisiaj.

—|Po chwili rozlega się silne pukanie do drzwi|—

Jerzy.

—|na ten odgłos wstrząsa się nerwowo, poczem mruczy przez zęby niechętnie|—

Kto tam znowu? Marta jeszczeby nie zdążyła. Nie będę otwierał. Niech walą choćby do Sądnego dnia.

Damazy —|za sceną|—

Panie Malicz — to ja.

Jerzy —|podnosząc się|—

Ach — Damazy... —|otwiera|—

Damazy.

—|stając w otwartych drzwiach z ręką na klamce|—

Panie Malicz — czy pan wie, co się dzieje w kopalni?

Tomasz.

To prawda, proszę pana. Ja zaś przejdę se tak, że mię nawet nie zobaczą. Ano... ale jakim już siwy i stary, jeszcze nigdy dyrektorowi nie donosił.

Jerzy.

Tak — jednakże widzicie — panie Tomaszu, tu jest położenie wyjątkowe. Pomyślcie tylko: taka zbrodnia, a potem śledztwo i Bóg wie, jakie następstwa. W takich warunkach żadne przedsiębiorstwo nie mogłoby istnieć — kopalnia zostałaby zamknięta, tyle ludzi bez chleba i w nędzy — pomyślcie, panie Tomaszu!

Tomasz.

Ja to wiem, proszę pana. Ano... jak pan powiada, że innej rady nie ma, to pójdę. Ja przecież dawałem panu słowo, że co tylko pan każe — to będę słuchał. Pójdę, proszę pana — pójdę.

Jerzy —|podając mu rękę| —

Dziękuję wam, panie Tomaszu.

Tomasz.

A jakby co — proszę pana... bo ja nie wiem, co ze mną dalej będzie — jakby co... to niech pan pamięta, że stary Tomasz słowa dotrzymał.

Jerzy.

Do końca życia nie zapomnę wam tej przysługi.

Tomasz

—|trzymając w swych dłoniach rękę Jerzego|—

Niech se pan też czasem wspomni o mnie, bo ja... tom się do pana przywiązał, jak wierny — pies...

—|pochyla się i całuje rękę Jerzego|—

Jerzy —|wzruszony, ściskając go|—

Żacny, najlepszy przyjacielu.

Tomasz

—|zatrzymuje się przy drzwiach i mówi do Marty|—

Maryś — córuchno — uściskaj ta ojca, bo nie wiadomo, jak będzie.

—|wchodzi — wchodzi — wchodzi|—  
Marta

—|obejmując ojca za szyję|—

A niech się ojciec aby pośpieszy, bo czasu tracić nie można.

—|Tomasz Kos odchodzi|—

—o—

S C E N A VII.

Jerzy —|po chwili milczenia|—

Wiesz, Marti — twój stary, to najpocziwszy człowiek, jakiego spotkałem w życiu.

Marta.

Ha — pocziwy. A ciebie — Jerzy — to już poprostu ubóstwia. Dałby się rąbać za ciebie.

Jerzy.

Gdyby biedak wiedział...

Marta.

Że... jestem twoją kochanką?

Jerzy —|patrząc w ziemię|—

Gdyby wiedział... To jest jednakże ogromnie przykre —|po chwili|—  
Marti, daj mi szklanę wody.

Marta.

—|podaje mu wody, poczem wyciera chusteczką jego czoło i całuje|—

Jerzy —|odsuwając się od niej|—

Jestem zmęczony, Marti.

Marta.

Mieliśmy poczytać...

Jerzy.

Owszem... owszem ... Wybierz jaką książkę z biblioteki.

Marta

—|idzie do oszklonej szafki, stojącej w rogu pokoju, otwiera ją i  
przerzuca kilka książek|—

Franek —|chłopak pokojowy — wchodząc|—

Proszę pana, jakaś pani w niebieskim kapeluszu czeka w powozie przed domem i pyta się, czy się może widzieć z panem Pietrzyńskim.

Jerzy —|zelektryzowany|—

Z panem... Pietrzyńskim? A powiedziałaś, że go niema w domu?

Franek.

Powiedziałem, proszę pana, ale mi kazała się zapytać, czy prędko pan Pietrzyński wróci i czy może na niego zaczekać. Dała mi nawet jakiś bilet.

—|podaje Jerzemu bilet wizytowy|—

Jerzy.

—|czyta, mieniając się na twarzy|—

Franek.

Czy mam prosić?

Jerzy

Zaczekaj. —|do Marty|— Panno Marti... ja chciałem panią prosić... może pani jeszcze dogoni ojca i powie, żeby koniecznie... —|urywa, nie wiedząc, co mówić dalej|—

Marta.

Co mam powiedzieć ojcu?

Jerzy.

Że... że dyrektora można zastać tylko do 5-tej.

Marta —|śmiejąc się z goryczą|—

Ależ... panie Jerzy, nie szukaj pan wykrętów. Ja widzę doskonale, że pan się chce pozbyć mojej osoby.

Jerzy.

Przepraszam panią bardzo, ale to przyjechała... moja siostra...

Marta —|zdkawionym głosem|—

Ja... ja państwu przeszkadzać nie będę.

—|gorączkowo bierze kapelusz i wychodzi szybko nie, żegnając się|—

Jerzy

—|po jej odejściu mówi do Franka z westchnieniem ulgi|—

Idź — Franek — prędko i prosz tę panią, żeby weszła.

Franek.

Dobrze, proszę pana —|odchodzi|—

Jerzy

—|zostawszy sam, nerwowymi ruchami poprawia włosy i ubranie — ustawia porozrzucane w pokoju sprzęty.|—

— o —

## S C E N A VIII.

—|Elża Pietrzyńska wchodzi. Jasna blondynka w zręcznej, podróżnej sukni — biała bluzka z turkusową wstążką u szyi; podróżna torebka u paska, kapelusz przewiązany niebieską woalką, zwieszającą się na ramiona. Zmieszana i zarumieniona zatrzymuje się u drzwi|—

Jerzy

—|idzie do niej, siląc się na swobodę|—

Panno Elżo: co za nadzwyczajna niespodzianka!

Elża —|zimno|—

Witam pana, panie Jerzy —|podaje mu rękę, którą Jerzy chce ucałować Elża szybko cofa swą rękę|—

Jerzy

—|sztywnieje i mówi, podając jej krzesło|—

Pani będzie łaskawa spocząć.

Elża —|siadając|—

Dziękuję — Czy niema Władzia?

Jerzy

Nie — wyszedł przed chwilą. Jeżeli pani rozkaże — mogę zaraz po niego posłać.

Elża.

Owszem. Chciałabym bardzo go zobaczyć. Tylko dlatego tu przyjechałam. Czy zdrow?

Jerzy.

Najzupełniej i wygląda doskonale. Zaraz pošlę Franka... tylko uprzedzam panią, że Władek nie mówił mi dokąd idzie, więc nie wiem, czy go od razu znajdziemy?

Elża.

To .. w takim razie — ja mu zostawię kilka słów na kartce wraz z moim adresem. — Proszę tylko o ołówek. Zajechałam tu do mojej kuzynki, która mieszka przy samym dworcu. Sądzę, że Władzio jeszcze dzisiaj będzie mógł do mnie przyjechać — a... może i pan także. Mam z panem wiele do pomówienia.

Jerzy.

Owszem, owszem. Zaraz podam ołówek —|wyjmuje portfel i otwiera; z portfela wysuwa się fotografia Elży, którą Jerzy schował był podczas rozmowy z Martą|—

Elża —|zelektryzowana|—

Co to za fotografia?... —|odruchowo bierze fotografię i wydaje lekki okrzyk radosnego zdziwienia|—

Jerzy.

—|patrzac na nią — zmienionym, serdecznym głosem|—

To jest obraz mojej małej królowej, z którym się nie rozstaję nigdy... —|po chwili bierze jej rękę i podnosi do ust|— Elżuniu — dlaczego jesteś dla mnie taka zimna... taka... niedobra dzisiaj?

Elża —|niepewnym głosem| —

Jerzy... ja ci powiem prawdę — Przyjechałam tu tylko dlatego... że od niepamiętnych czasów nie mam ani od ciebie, ani od Władzia żadnej wiadomości o tobie. Chciałam się przekonać wreszcie, co się stało? czyś się zmienił dla mnie? czyś mię... przestał kochać..?

Jerzy —|chwytając jej rękę|—

Elżuniu! kocham cię sto razy więcej, niż kiedykolwiek kochałem.

Elża

—|kładzie mu obie ręce na ramionach i pyta, patrząc mu w oczy badawczo|—

Jerzy... czy ty mówisz prawdę?

*Jerzy.  
Najświętszą, najczystszą prawdę!*



Elża — |po chwili, z westchnieniem ulgi|—

Ha — to w takim razie możemy z sobą pogadać. —  
—|zdejmuje kapelusz i torebkę; poprawia włosy przed lustrem|—

Jerzy —  
—|patrząc na nią rozpromienionym wzrokiem|—

Wiesz, Elżuniu, że to jednakże doskonała myśl — ten twój przyjazd.  
Daj mi rączkę — ja sam zdejmę rękawiczki.

Elża — |chowając ręce za sobą|—

Powoli mój panie; jeżeli myślisz, że tak odrazu wszystko będzie do-  
brze między nami... Przedewszystkiem muszę ci powiedzieć, że ja przez  
ciebie, przez te twoje długie milczenie miałam tyle zgryzot, że mało nie  
posiwiakałam, nie wyłysiałam, nie postarzałam się...

Jerzy —|wesoło, biorąc jej rękę|—

No — całe szczęście, że tak się nie stało; że jesteś zawsze tak  
śliczna, jak byłaś.

Elża.

Powiedzże mi wreszcie, dlaczego tak długo milczałaś?

Jerzy.

Elżuniu — musisz mi to przebaczyć. Byłem w ostatnich miesiącach  
taki zaabsorbowany — poprostu w ciągłej gorączce. — Ty nie wiesz, co to  
znaczy w obecnych czasach rzucić się w wir agitacji...

Elża.

Tak — agitacja! Wiedziałam, że mi to odpowiesz.

Jerzy.

Elżuniu — nie uwierzysz jak taka rzecz człowieka zjada, wyniszcza,  
męczy... Ja poprostu jestem chory...

Elża.

Jesteś chory? —|przypatruje mu się uważnie|—

Wiesz, że naprawdę zmizerniałeś, wybladłeś... Jerzy, czy może...  
przechodziłeś tu jakie niebezpieczeństwa?

Jerzy.

Nie — nie... To jest... opowiem ci to wszystko, ale później... te=

raz wolę o tem nie myśleć. Człowiek, widzisz, męczy się długo, ale kiedy nareszcie zdobędzie sobie jedną jaśniejszą chwilę — to pragnie jej już niczem nie zamącać.

Elża.

Powiedz mi tylko, Jerzy — po co ty to wszystko urządzasz? Przecież politycznej kariery tu nie zrobisz?

Jerzy.

Widzisz, Elżuniu... jakby ci to powiedzieć..?

Elża.

Odpowiesz mi zapewne: ambicya. Tak, tak: ambicya. Bóg wie dokąd ludzi prowadzi. A że ty masz przytem taki szalony dar wymowy...

Jerzy —| z uśmiechem | —

Na nasze nieszczęście — prawda..?

Elża.

Ach nie. Ja właśnie dumna jestem z tego i szczęśliwa. Owszem, Jerzy, bądź sławnym, wielkim, nieśmiertelnym, ale... trochę później; a teraz, Juraś... choć kilka lat naszego życia poświęćmy tylko sobie... tylko naszej miłości...

Jerzy —| obejmując ją ramieniem|—

Masz skusznosc, Elżuniu — masz świętą skusznosc.

—| chce ucałować jej oczy|—

Elża

—| wyrywając się zmięszana i drżąca|—

Jerzy, proszę cię... tembardziej, że jestem w twoim domu...

Jerzy —| zmieszany także|—

Tak — to prawda, Elżuniu; — tembardziej, że jesteś w moim domu, powinienem być tylko twoim posłusznym i uległym niewolnikiem. Usiądź, Elżuniu, odpocznij —| wskazuje jej kanapkę, na której poprawia poduszki|—

Elża.

—| usuwa się na nią wzruszona i zdenerwowana, zasłaniając twarz rękami|—

Jerzy.

Jesteś zmęczona podróżą, nieprawdaż? A może jesteś głodna? —| idzie do kredensu, wyjmując ciastka, owoce, wino i kieliszki|—

—|wzruszona| Elża.

Ach — nie! Nie sprawiaj sobie kłopotu.

Jerzy.

Elżuniu — pozwól mi ugościć cię w moim domu;— to dla mnie takie szczęście!

Elża —|po chwili, wesołym tonem|—

Jerzy, czy ty domyśliłeś się odrazu, że ja tu nie do Władzia przyjechałam?

Jerzy —|z uśmiechem, całując jej rękę|—

Jeżeli mam być szczerym — tak; poznałem odrazu całą prawdę, ledwie spojrzałem na moją panią, która tak majestatycznie weszła. —|nalewając wino|— To była doskonała myśl, ten przyjazd; ale powiedz mi, że matka zgodziła się na to?

Elża.

Matka nic nie wie. Popełniłam pobożne kłamstwo i i powiedziałam, że jadę do Krakowa. Właściwie wybieram się tam nawet, a tutaj wstąpiłam tylko... od niechcienia.

Jerzy —|trącając kieliszek Elży|—

Zdrowie mego ukochanego gościa.

Elża.

—|wypija, poczem stawia kieliszek na stole i mówi dalej wesołym tonem|—

Przyznaj jednak, Juraś, czy w gruncie rzeczy nie miałam racji? Przez trzy miesiące męczyłam się niepokojem — zaczęłam więc rozumować w ten sposób: Jeśli tak dalej pójdzie — mogę się męczyć jeszcze drugie trzy miesiące i z tego wszystkiego... jeszcze się do grobu wpędzę!..

Jerzy —|biorąc jej rękę|—

Ach — Elżuniu...

Elża.

Czy nie lepiej odrazu dowiedzieć się całej prawdy?

Albo Jerzy mnie kocha i wtedy wszystko jest w porządku — albo Jerzy mnie nie kocha i wtedy...

Jerzy —|żartobliwie|—

I wtedy szukam innego.

Elża.

A żebyś wiedział, mój kochany! Na złość szanownemu panu, wzięłabym sobie pierwszego z brzegu jegomościa, którego bym potem, nawiasem mówiąc, zadreńczyła na śmierć, w najkrótszym czasie.

Jerzy.

Doprawdy? Chciałaś się stać „demonem ziemi”?

Elża.

Ha — ha! i to ma swój urok! —|Śmieją się oboje|—

— o —

S C E N A IX.

Władysław wchodzi i zatrzymuje się u drzwi, osłupiały ze zdziwienia.

Elża —|wesoło|—

Władek: Ha — ha — ha! Jerzy, patrz na jego przerażone oblicze.

Władysław —|idąc do Elży|—

Przepraszam cię, Elżuniu, ale... ja jestem tak zdziwiony. Skąd... jak..?

Elża —|podając mu rękę|—

Skąd? z Warszawy — a jak? koleją. Jestem tu już od godziny i bawię się doskonale.

Władysław.

—|siada na krześle z wyrazem niesłychanego przygnębienia|—

Elża —|zanosząc się od śmiechu|—

Władziu, co ty robisz? Ha — ha — ha! skamieniał ze zgrozy — prawda Juraś? Czy to tak z oburzenia nad moim postępowaniem? Ależ przecież, miałeś już czas i sposobność oswoić się z tem, że masz emancypowaną kuzynkę —|podnosi do ust kieliszek|—

Władysław.

W kopalni...

Jerzy —|pijąc wino|—

Ach — nie mów nam teraz o kopalni.

—|medycynie| Elża.

Tak — Władek; Jerzy ma rację. Powiedz nam coś weselszego. Kopalnia to brzmi tak ciemno, ponuro... prawda, Jerzy? a nam teraz wesoło, jak nigdy!

Jerzy.

Śmieję się jeszcze Elżuniu. Tak już dawno nie słyszałem twego ślicznego śmiechu. Władek, powiedz coś dowcipnego, żeby się Elża jeszcze śmiała.

Elża —|śmiejąc się|—

Ach — mnie nie trzeba tak wiele! Wystarczy mi spojrzeć na jego twarz pełną świętego oburzenia...

—|nagle|— Ale... powiedz mi jeszcze, Jerzy — kto była ta jakaś panna, czy dziewczyna, która stąd wyszła zaraz po moim przyjeździe, w takim czerwonym kapeluszu?

Jerzy.

Ach ta? To nauczycielka ludowej szkółki. Przyszła tu do mnie po jakieś książki. Bardzo zacna osoba. Pracujemy tu razem nad oświatą ludową.

Elża.

Przeszła prędko, więc zauważyłam tylko, że miała bardzo duże włosy i bardzo brzydkie spojrzenie. Poszła na lewo; zdaje mi się, że wróciła do waszego domu przez drzwi kuchenne.

Jerzy —|zdziwiony|—

Tak? Ale... to ci się pewnie tylko zdawało, Elżuniu. Obecnie powinna być w szkole. Władek — dlaczego nie pijesz wina?

—|bierze|— Władysław.

Dziękuję — dziękuję. Nie będę pił.

Jerzy.

Ha — zmuszać cię nie będziemy. Ale my się napijemy jeszcze, prawda — Elżuniu? —|bierze flaszkę i nalewa|—

Elża.

Juraś — na twojem sumieniu, jeżeli się upiję. Ale — zaczekaj: nie

mówiliśmy jeszcze o tem, co najważniejsze. Juraś słuchaj: ja jako twoja narzeczona wymagam stanowczo, abys stąd jaknajprędzej wyjechał.

Jerzy —| z uśmiechem|—

Elżuniu, żadne żądanie nie może być dla mnie miłszem w tej chwili.

Już i sam pragnę wyrwać się z tego piekła.

Władysław.

Jurek — zanim wyjedziesz, masz jeszcze ważne sprawy do załatwienia.

Jerzy.

—|niechętnie, patrząc na wyciągnięte na rajsbrocie kartony|— Tak — te plany... Ale, wiesz Władek? albo zabiorę je ze sobą do Warszawy, albo oświadczę wprost zarządowi, że ich dokończyć nie mogę.

Władysław.

Ja w tej chwili nie myślałem o planach.

Sprawa wydalonych sztygarów jest ważniejsza.

Jerzy.

Ach — to, to już pozostawiam na twojej głowie.

Elża.

Władziu — nie zatrzymuj już dłużej Jurasia, bo mi się tutaj zmarnuje przy tych wszystkich agitacjach —|do Jerzego|— Juraś, wyjeżdżasz jutro.

Jerzy —|całując jej rękę|—

Kiedy tylko moja królowa rozkaże.

—|Elża.

Mam śliczne projekta na sezon letni. Już mi się udało namówić rodziców. Jedziemy do Zakopanego — a ty naturalnie z nami.

Jerzy —|pijąc wino|—

Zaręczam ci, że do tego mnie namawiać nie potrzebujesz.

Elża.

Doskonale! Będziemy urządzali ogromnie poetyczne wycieczki po wszystkich wierchach i dolinach..

Władysław.

—|coraz silniej zdenerwowany, zrywa się nagle od stołu, jakby nie

chciał przysłuchiwać się dalszej rozmowie — staje w zagłębieniu okna i patrzy w zamyśleniu na zachodzące słońce|—

Elża.

Już wyobrażam sobie, jak będziemy wracali z takich wycieczek późnym wieczorem. Górale niosą przed nami pochodnie, a my idziemy, śpiewając i deklamując. Mój Juraś naturalnie dominuje nad wszystkimi głosami swoim ślicznym barytonem.

Pamiętasz, Juraś, moją ulubioną barcarolę —|zaczyna nucić|—

Jerzy.

—|zrywa się i otwiera pianino|—

Zagraj ją Elżuniu — pianino czeka.

Elża.

—|śmiejąc się, biegnie do pianina i zaczyna grać|—

-|Oboje nucą coraz śmieiej i głośniej|—

O piękna nocy, której cień

miłości naszej sprzyja —

o nocy słodsza niżli dzień i t.d.

—|Opowieści Hofmana|—

Podczas tego śpiewu drzwi z lewej strony odchylają się. Marta wsuwa się niepostrzeżona przez nikogo i staje oparta o ścianę nieruchoma, trupio blada.

Elża.

—|urywa nagle i przechodzi na nutę walca |—

Juraś, a pamiętasz tego walca?

Wstań bóstwo moje, usłysz mój głos...

—|gra coraz szybciej i energiczniej, poczem znowu zwalnia. Jerzy nuci półgłosem, kołysząc się w takt walca.

Elża po chwili przerywa grę, ale śpiewa w dalszym ciągu, przechylając się na poręcz swego krzesła.

Jerzy.

—|przyklęka i bierze jej rękę, powtarzając za nią słowa pieśni|—

Wstań bóstwo moje — usłysz mój głos...

zmień w szczęścia zdroje — mój biedny los...

— |całuje gorąco obie jej ręce|—

Marta —|zbliżając się do nich nagle|—

Jerzy — dosyć:

-|Jerzy, Elża i Władysław zrywają się z miejsc przerażeni|—

Marta.

—|do Jerzego ochryłym i zdławionym głosem|—

Bezczelny kłamco! Przypomnij sobie, co mi mówiłeś jeszcze dziesiątka!

Jerzy.

—|nieprzytomny z gniewu — wskazując jej drzwi|—

Marti — precz stąd! Jak śmiesz? jakim prawem? precz stąd!

Marta.

—|patrząc mu w oczy i wstrząsając głową|—

Nie — ja stąd nie odejdę; — ja się ciebie nie ulękę. To ty raczej — zadrzyj przedemną, podły uwodzicielu!

Władysław —|biorąc rękę Elży|—

Elża — chodź. Ty nie powinnaś być tutaj w takiej chwili. Chodź — odwiozę cię na kolej.

Elża.

—|machinalnie, jakby w śnie hipnotycznym, bierze kapelusz i wychodzi z Władysławem|—

— o —

## S C E N A X.

Marta.

—|patrząc na odchodzących, wybucha dzikim, syczącym śmiechem|—

Ha — ha! Jak prędko zniknęli — prawda? Jesteśmy znowu sami.

Jerzy.

Marti — to było niktzemnie z twojej strony! Podsłuchałaś nas?



Marta.

Tak — słyszałam wszystko.

Jerzy.

To było nikczemnie! Słuchaj — jeżeli chcesz wiedzieć całą prawdę — nie będę już nic ukrywał przed tobą. Od chwili, kiedy mi narzuciłaś swoją miłość, życie stało się dla mnie prawdziwą torturą. Ja ci tego nie mówiłem, ale tak było!

Marta.

I dlaczego mi nie mówiłeś? Dlaczego kłamałeś przedemną?

Jerzy.

Kłamałem — tak kłamałem; ale ty masz w sobie coś tak szatańsko gwałtownego, że poprostu...

Marta — |śmiejąc się|—

Nie miałeś odwagi?

Jerzy.

Byłem zdławiony twoją namiętnością — stałem się jakimś automatem bez duszy i woli — czy ja już zresztą sam wiem, dlaczego się to stało, ale było mi z tobą tak źle, że gdyby to miało trwać dłużej, wolałbym sobie sznur na szyi okręcić. I kiedy nareszcie, po tem całym piekle, zdało mi się, że przyszła dla mnie chwila wyzwolenia — ty jakpotwór jadowity, wkradłaś się tu chyłkiem, aby moje szczęście raz na zawsze zatruc.

Marta.

Tak — prawda: wkradłam się tutaj bez twego pozwolenia. Odważyłam się wejść w chwili, kiedy byłeś taki wesoły, kiedy piłeś wino, śpiewałeś, śmiałeś się... Ja w takiej chwili odważyłam się wejść z tym moim potwornym bólem — z tą męczarnią —

Ha — ha: Popsułam ci zabawę, prawda?

Jerzy.

Marta — trzeba to już raz skończyć...

Marta — |z wybuchem|—

To wszystko nic, ale dlaczego mnie oszukiwałeś? — dlaczego mnie oszukiwałeś?! powiedz — |idzie ku niemu w pół zgięta — z szaloną nienawiścią w twarzy i szarpie gwałtownie jego ramieniem|— Powiedz ty podły psie — dlaczego mnie oszukiwałeś?

Jerzy

—|tracąc zupełnie panowanie nad sobą|—

Marti — wszystko ma swoje granice... —|chwyta się konwulsyjnie za skronie|— Ja... ja już sam nie wiem, co się ze mną dzieje — czy to obłąd, czy to jakaś okropna choroba... —|z brutalną passją chwyta ramiona Marty i wstrząsa nią z wszystkich sił|— Marti — czy ty nie widzisz, że ty mnie możesz doprowadzić do czegoś strasznego? Odczepże się już raz wreszcie przekłeta jędzo —|odpycha ją|— Raz wreszcie... —|wybiega nieprzytomnie drzwiami z lewej strony, które zatrzaskuje za sobą|—

Marta.

—|odepchnięta, pada na dywan i opierając głowę na sofie, wybucha głośnym spazmatycznym łkaniem|—

— o —

A K T III.

Ten sam pokój, co w drugim akcie.

S C E N A I.

Władysław

—|wchodzi drzwiami z głębi sceny, zdejmując kapelusz i okrycie — zbliża się ostrożnie do drzwi z lewej strony i nasłuchuje — poczem mówi półgłosem|—

Śpi pewnie.—|przechadza się w zamyśleniu po pokoju — poczem machinalnie zbliża się do pianina i bierze kilka akordów; przerywa nagle, zamyka pianino i znowu krąży po pokoju niespokojny i zdenerwowany|—

Jerzy.

—|wchodzi drzwiami z lewej strony — bez kołnierzyka, w nocnej koszuli i rozpiętej kurtce — blady z oczyma błyszczącymi gorączką|—

Władysław —|zdziwionym głosem|—

Co to — wstałeś?

Jerzy —|przesuwając dłonią po włosach|—

Jak widzisz.

Władysław.

Jakże się czujesz? lepiej?

Jerzy.

Widocznie — skoro wstałem i chodzę. Cóż tak patrzysz na mnie zdziwiony. Czyście mię już na śmierć skazali, czy co?

Władysław.

Co znowu? Ale wczoraj jeszcze miałeś silną gorączkę.

Jerzy.

Wiem, wiem, Ale mój kochany — po tych wszystkich scenach, choćby człowiek miał nerwy jak postronki— jeszczeby popełkały.

Władysław.

No — już nie mówny o tem. Przejdź się trochę — zaczerpnij powietrza.

Jerzy.

—|przesuwając dłonią po czole|—

Słuchaj — Władek... co mówił doktor? Czy... nie obawiał się jakich komplikacji mózgowych?

Władysław.

Skądżeż znowu? Co ci też po głowie chodzi? Przez trzy dni miałeś trochę gorączki i na tem koniec. Zwyczajny rozstrój nerwowy.

Jerzy.

—|po chwili z ciężkim westchnieniem, opuszczając się na krzesło|—

Co się dzieje w kopalni?

Władysław —|zakłopotany|—

No.. niby niewesoło...

Jerzy.

Mów — mów śmiało. Ja teraz jestem twardy.

Władysław.

Wyszyński, Chmieliński i Fussman pod eskortą policji dostali się na dworzec i wyjechali szczęśliwie.

Jerzy.

Czy przyszło do starcia między robotnikami, a policją?

Władysław.

Tak, ale... bez gorszych następstw. Kilku lekko ranionych.

Jerzy.

I cóż dalej?

Władysław.

Górnicy dowiedzieli się, że to stary Tomasz donosił dyrektorowi i okropna złość na niego w kopalni. Wszystko się przeciw niemu obróciło.

Jerzy —|zrywając się|—

Co ty mówisz? A gdzież on jest?

Władysław.

Otóż to właśnie, że przepadł jak kamień w wodzie. Nawet rodzina nie wie, gdzie się znajduje.

Jerzy —|niespokojny|—

Ależ trzeba go szukać...

Władysław.

Nie — ja sędzę, że to byłoby jeszcze gorzej. Tomasz Kos jest stary praktyk i wie, co w takim położeniu najlepiej. Schował się widocznie i czeka, aż w kopalni przycichnie. Szukając go, moglibyśmy mu właśnie jaknajgorszą przysługę oddać.

Jerzy —|po chwili|—

I co więcej dzieje się w kopalni?

Władysław.

Mój kochany — lepiej się nie pytaj.

Jerzy.

Powiadam ci, że jestem teraz twardy. Wolę wiedzieć wszystko.

Władysław.

Wczoraj w warsztatach powstały jakieś nieporozumienia. Już sam nie wiem z jakiego powodu. Tak się teraz we wszystkich głowach pali, że tylko czyhają na sposobność. Wynikło z tego nowe piekło.

Jerzy.

Pewnie sprawka naszego Hula.

Władysław.

Górnicy wszyscy odstąpili od roboty — poniszczyli narzędzia, popsu= li maszyny... Wobec tego... zarząd wyjechał i ogłosił, że przedsiębior= stwo na czas niegraniczony zamknięte.

Jerzy —|po chwili z gorzkim uśmiechem|—

Wiesz, Władek? Człowiek, to jednakże strasznie kiepski pomysł natu=ry. Drapieżne to, a głupie.

Władysław.

Nie czas filozofować teraz, Jerzy, ale trzeba pomyśleć...

Jerzy.

O czymże mam myśleć?

Władysław.

Jakto o czym? o tem, co będzie teraz z tymi biedakami. Musimy za wszelką cenę uwolnić ich z pod wpływu tego wściekłego Hula. A toćby ich wszystkich do najstraszniejszej nędzy doprowadził.

Jerzy.

Próbuj, mój kochany.

Władysław.

Jakto? ja przecież nic nie znaczę, ale ty Jerzy, ty masz jeszcze jakąś władzę nad nimi. Od ciebie tylko zależy wyrwać ich z rąk Hula.

Jerzy.

Ha — ha! jak ci się to łątwem wydaje.

Władysław.

Mój drogi — musimy teraz dobrze poły zakasać i zabrać się do robo=ty. Tłum trzeba uspokoić, dyrektora sprowadzić, kopalnię w ruch puścić, a Hula wygnać na cztery wiatry.

Jerzy.

Jak ci się to wszystko łątwem wydaje!

Władysław.

Więc powiedz sam, Jerzy — co teraz myślisz robić?

Jerzy.

Co ja myślę robić? Spakowałem rzeczy i wyjeżdżam.

Władysław.

Wy... wyjeżdżasz?! Jakto? wyjeżdżasz... i zostawiasz kopalnię pod nieograniczonym wpływem Hula?

Jerzy.

Mój kochany — czym ja temu winien, że oni teraz wolą słuchać Hula, niż mnie.

Władysław.

Tak, aleś ty pierwszy rozbudził namiętności — tyś rzucił pierwszą iskrę,— a teraz Hul dmucha w ten płomień całą siłą swoich ohydnych płuc.

I ty chcesz ustąpić? i ty nie będziesz z nim walczył? nie zwalisz go, nie zdruzgocesz jego wpływu?

Jerzy.

Nie — nie Władek. Ja na tę walkę jestem zanadto... zmęczony.

Władysław —| z wybuchem goryczy|—

Aa... rozumiem, to cię przestało bawić. Nie, mój kochany — ty teraz zostaniesz nie dla zabawy, ale...

Jerzy —| nerwowo|—

Proszę cię, Władek — przestańmy o tem mówić. Dzisiaj już mię na żadne wyższe zadania i obowiązki nie weźmiesz. Ja widzisz — stwardniałem. Wiem, że z natury jestem miękki, ale... ile razy ulegałem tej mojej... głupiej słabości charakteru, żałowałem tego zawsze.

Byłem miękki, kiedy na prośby tej całej zgrai zostałem tutaj, zamiast brać posadę, jaką mi dawano i dobijać się karyery.— Byłem miękki, kiedy widząc namiętność tej opętanej histeryczki, bałem się nagłem odtrąceniem zkłamać jej życie i ulegałem jej miłości. Dobrze mi się też za to odwdzięczyła.

Władysław.

Jerzy — znikuj się! Za co też ona miała ci się odwdzięczać?

Jerzy.

Byłem miękki nawet względem twej kuzynki, Elży. Dałem się tak łatwo związać jakimiś zaręczynami, jakgdybym i bez takich awantur i zobowiązań nie mógł się kochać w kim mi się żywnie podoba.

Jednem słowem byłem zawsze miękki i zawsze padałem ofiarą. Należy mi się raz wreszcie zdobyć się na opór i pomyśleć trochę o sobie. Czy chcesz, żebym ja się tu na śmierć zamęczył? Ależ ja najwyraźniej chory jestem po tych wszystkich scenach. Ja muszę wyjechać na południe, albo gdzieś nad morze... Muszę odpocząć, zapomnieć... rozerwać się.

Władysław.

Jerzy, czy ja cię dobrze zrozumiałem?

Ty myślisz o tem, aby się rozerwać i zabawić, a tu za sobą zostawiasz głód... nędzę... zbrodnie?

Jerzy, ty chyba mówisz w gorączce.

— o —

S C E N A II.

Marta wpada drzwiami z głębi sceny bardzo blada, włosy rozrzucone, oczy błyszczące i nieprzytomne

W kilka chwil potem wchodzi Damazy.

Marta —|z dzikim obłędem|—

Jerzy, powiesili mi ojca! — słyszysz? ojca mi powiesili!!

—|z konwulsyjnym łkaniem rzuca się na krzesło|—

Władysław i Jerzy —|równocześnie|—

Powiesili?!

Damazy —|do Władysława|—

Panie Pietrzyński! co tu się teraz dzieje! Stary Kos powieszony pod lasem, na gałęzi.

Marta —|wśród łkań spazmatycznych|—

Powieszony na gałęzi, jak zbrodniarz... Tak go okropnie shańbili.

Damazy.

Jeszcze mu łotry na piersiach przypięli napis: szpieg i donosiciel.

Marta.

Tak go okropnie shańbili! Przecież ten starzec nie zasłużył na to!

Władysław.

Gdzie się to stało i kiedy?

Marta —|zrywając się nagle|—

Jerzy — to przez ciebie... dlaczegoś go tam wysyłał? —|idzie do Jerzego i wpija obie ręce w jego ramię|— Ach — Jerzy, Jerzy; coś ty zrobił z moim ojcem i ze mną?! Jerzy!

Władysław —| do Damazego|—

Niech nam pan pokaże, gdzie się to stało? Jurek — musimy tam le =  
cieć! Może jest jeszcze jaki ratunek. Prędzej!

Jerzy.

—|nagłym szarpnięciem uwalnia się z rąk Marty i wybiega za Włady =  
sławem i Damazym, zamykając drzwi za sobą|—

Marta —|idąc za Jerzym|—

Jerzy, zaczekaj — już i tak zapóźno; już cały czarny; Jerzy...  
—|zatrzymuje się u drzwi i powtarza, jakby do siebie|— Cały czarny, opu =  
chły — a... —|przysłania oczy, jakby broniąc się przed strasznym obra =  
zem — po chwili przytomnieje i zaczyna gorączkowo chodzić wzdłuż i  
wszerz pokoju. Nagle w otwartym oknie spostrzega głowę Hula, który od  
kilku minut krąży wokoło domu. Marta idzie do okna i woła zniżonym gło =  
sem|—

Hul — czy to ty? Chodź, chodź; chodź, ja chcę z tobą pogadać.

— o —

### S C E N A III.

Hul.

—|wchodzi drzwiami z głębi sceny i mówi, zdejmując czapkę|—

Dzień dobry pannie Marcie. Niech panna Marta powie prędko, bo ja  
długo słuchał nie będę.

Marta

—|patrzac mu w oczy przenikliwie|—

Słuchaj, Szymek... —|urywa, poczem mówi nagle, kładąc rękę na jego  
ramieniu|— Toś ty powiesił mego ojca.

Szymon Hul.

—|z głupkowatym, a równocześnie chytrym uśmiechem|—

To stary Kos powieszony? Kiedy? jak?

Anim widział, anim słyszał...

Marta.

Nie zapieraj się, Szymek, bo ja i tak prawdę widzę. Jeżeliś sam nie  
powiesił, toś namówił — co?



Szymon Hul.

A niechże się panna Marta niewinnego człowieka nie czepia, bo jeszcze z tego wszystkiego będzie jaki zły interes. Ze mną zaczynać panno Marto — to lepiej... lepiej się odrazu pod ziemię zakopać.

Marta

—|po chwili wybuchając śmiechem|—

Ha — ha! Jakiś ty śmieszny Szymek — ty myślisz, że ja się ciebie przelęknę. Jakiś ty śmieszny!

Nie powiesiłeś — to tak odrazu gadaj. Mnie ludzie opowiadali, alem też nie bardzo wierzyła.

Szymon Hul.

A kto opowiadał pannie Marcie?

Marta.

Iii... co tam będziemy wałkowali! A czy to ja mogę spamiętać? —|zbliżając się do Hula|— Ja odrazu pomyślałam, że to nieprawda, Szymek, bo... boś ty mię przecie dawniej miłował, co?

Szymon Hul.

—|ponuro patrząc w ziemię|—

Ano... na moje utrapienie... Ale se panna Marta innego znalazła; aliganta — jasnie pana...

Marta.

Szymek, napij się wódki, bo ci jakoś dzisiaj w oczach mroczno — co?

Szymon Hul.

Ano — jak jest — to dawać.

Marta

—|wyjmuje flaszkę i chce nalać w kieliszek|—

Szymon Hul.

Ktoby tam nalewał! Dawać z flaszką —|wypija kilka łyków, poczem stawia flaszkę na stole, trzymając ją jednak ciągle w dłoni|— Nalewka podła — jakby kto wodę żłopał.

Marta.

Słuchaj — Szymek — powiedz mi, po coś ty tu koło okna chodził — co?

Szymon Hul

—|wycierając wargi rękawem|—

Ano — powiem pannie Marcie — co jest... Mają się tu schodzić górnicy do Malicza, po radę, co teraz mają robić, kiedy kopalnia zamknięta i zarobku nie mają. To ja tu też chodzę — bo jak ich się paru zejdzie, to i ja muszę być przy tem.

Marta.

Aa... rozumiem: Boisz się, żeby ci Malicz władzy nie ujął.

Szymon Hul.

Malicz — nie Malicz — a ja pannie Marcie powiadam, że mi już teraz nikt władzy nie ujmie. Już teraz nie Malicz tu będzie pierwszy, ale ja. Oni już jego słuchali nie będą, bo im wrzaseń tak, że aż im oczy na wierzch wyjdą — teraz tu będą tańczyli tak, jak ja im zagram, a Malicz tyle będzie znaczył, co nic.

Marta.

—|patrząc na Szymona ponuro błyszczącymi oczyma i kładąc mu rękę na ramieniu|—

Ej, Szymek, Szymek! żebyś ja była mądra, to ja byłabym wolała ciebie kochać. Ty jesteś zbrodniarz, ale tybys przynajmniej nie oszukiwał, nie kłamał — co? Jakbym ci się sprzykrzyła, tobyś mi odrazu powiedział prawda?

Szymon Hul —|z brutalnym śmiechem|—

Ha — ha! To się panna Marta tutaj komuś sprzykrzyła?

Marta

—|próbując się śmiać, ale głos jej przechodzi w chrapliwy jęk — zakrywa twarz rękami|—

Szymon Hul —|śmiejąc się ciągle|—

A ja wiedziałem, że tak będzie. Zachciało się pannie Marcie ananasów — co? A ja tom był obdartus, pijak, bydlę nahalne — co?

A ja wam odrazu mówił: popamiętacie wy, pożałujecie. Stary to już se pożałował! pożałował se w ostatniej godzinie tak, że mu aż ślepia z dołów powychodziły. Już on się odemnie doczekał...

Marta —|z tajoną wściekłością|—

Szubienicy — co? Przyznałeś się nareszcie — kotrze... —|po chwili|—

napij się jeszcze wódki.

Szymon Hul.

—|bierze flaszkę i pije — po chwili odejmuje ją od ust i podnosi na Martę oczy krwią nabiegłe|—

A ja powiadam, pannie Marcie — że ja to swego nie daruję! Jeszczemi się wy oboje w ręce dostaniecie. I ty i twój kochanek. Jeszcze on teraz na nogach stoi — jeszcze go tu uważają, ale przyjdzie taki czas, że i jemu powróż na szyję zaciągną, albo go na kawały rozedrą, a pannę Martę razem z nim... jak... tę gadzinę! —|wściekłym ruchem rzuca na ziemię niedopitą flaszkę i tłucze ją|—

Marta —| w obłądnym podnieceniu|—

Słuchaj, Szymek — ty jesteś zbrodniarz, ale ja ciebie rozumiem. Ja teraz inaczej na ciebie patrzę — ja ciebie rozumiem, Szymek — ty chcesz się zemścić prawda?

Jak cię tak sponiewierają, zdepcą, nogami skopią — to ci się coś tak wściekłego do gardła rzuca, że już ino byś chciał kąsać i kąsać, prawda? zębami byś rozdarł tego człowieka.

Szymon Hul.

Ano — nakąsałem ja ludzi dość...

Marta.

Jak ja ciebie rozumiem, Szymek? I mnie tak zdeptali, skopali nogami, jak sukę — i przyszła na mnie taka chwila, że ja chciałabym kąsać...

Szymon Hul.

Nie doczekała się panna Marta pociechy ze swego aliganta — co?

o

#### SCENA IV.

Jerzy.

—|wchodzi zmieniony i blady z głową opuszczoną na piersi; spostrzeżga Hula i Martę, patrzy na rozbitą flaszkę i stojące na stole kieliszki i podnosi na Martę wzrok zdumiony|—

Szymon Hul —|biorąc czapkę|—

Ja przepraszam bardzo... Ja ino takem se przyszedł pogadać z panną Martą. Padam do nóg panu, panie Malicz. —|wychodzi drzwiami w głębi sceny

Jerzy —|do Marty|—

Marti — ty tu teraz pikaś wódkę... z tym Hulem?!

Marta —|śmiejąc się nieprzytomnie|—

Tak — piliśmy wódkę. Ha — ha. Jaką ty masz śmiesznie zgorszoną twarz, Jerzy. Tak, ja wiem — wy się zawsze nami gorszycie, ale powiedz, Jerzy, jeżeli my — nędzarze — kiedy nas pożera rozpacz nie mamy nic... nic więcej prócz tej wódki...

Jerzy —|przerywając|—

Marti — gdybyś ty się mogła uspokoić...

Marta.

Wy się zawsze nami gorszycie: pijaki, bydlęta, opoje — mówicie o nas, a czyście kiedy pomyśleli, ile taki biedny pijak musiał wycier = pieć, zanim przyszła chwila, że pozazdrościł zwierzęciu i sam zapragnął się stać zwierzęciem? Czy ty sobie wyobrażasz, Jerzy tę chwilę, kiedy człowiek pragnie się stać zwierzęciem? czy ty sobie wyobrażasz...

—|śmiejąc się ciągle spazmatycznie, rzuca się na krzesło i kurczo = wo chwyta stół rękami|—

Jerzy.

—|kładąc dłoń na rękę Marty|—

Marti — ty jesteś nieprzytomna z bólu, ale... ja proszę cię, uspo = kój się — Marti —|błagalnie|— ja cię proszę...

Marta —|bezdźwięcznym głosem|—

Prosisz...? Jerzy — prosisz? Tak mię już dawno nie prosiłeś o nic... —|głos jej przechodzi w łkanie — opiera czoło na rękę Jerzego|—

Jerzy.

Słuchaj — Marti. Ja może zawiniłem względem ciebie, ale... ja taki zły nie jestem. A twego ojca — Marti — ja polubiłem... przywiązałem się nawet do niego... ty nie wiesz, co się we mnie dzieje, kiedy pomyślę, że to przezemnie... Marti — ja przecież nie chciałem... gdybym był tylko przypuszczał... A teraz, Marti — ja niczego tak nie pragnę, jak wynagro = dzić to, co się stało; jemu już zapóźno, ale przynajmniej wam — jego dzieciom.

Ile was jest rodzeństwa?

Marta.

Sześcioro.

Jerzy.

Będę o wszystkich pamiętać — żadnemu z was niczego nie zbraknie. Będę pracował w pocie czoła dla was wszystkich. I tobie chcę wynagrodzić — Marti... Przez pamięć na twego ojca — ja jestem gotów wszystko zrobić — wszystko! czy słyszysz? Jestem gotów nawet... zerwać z całą przeszłością... nawet... —|ociera pot z czoła|— jestem gotów... ożenić się z tobą.

Marta.

—|na te słowa wybucha dzikim, obłąkanym śmiechem|—

O... ożenić się, ha — ha — ha! ożenić się... ze mną... ha — ha — ha. —|w coraz gwałtowniejszym śmiechu, zrywa się z krzesła — to znowu kładzie się w pół ciała na stole — wreszcie opiera się plecami o szafę|— Jakie to... do... dowcipne, coś ty powiedział, Jerzy... o... ożenić się ze mną...

—|śmiech jej przechodzi w konwulsyjny skurcz gardła i piersi|—

Jerzy.

—|idzie do niej i podtrzymuje ją dławiąc ją w niepowstrzymanej czkawce i próbując daremnym wysiłkiem zaczerpnąć powietrza|—

Marti — Marti — uspokój się... —|podaje jej szklankę wody|— napij się — Marti... —|po chwili|— no już... już dobrze. Jak można doprowadzać się do takiego stanu...

Marta.

—|uspokojona i wyczerpana, opiera głowę na jego ramieniu i mówi, patrząc mu w oczy|—

Jak można — tak cierpieć... i nie umrzeć, prawda?

Jerzy.

Słuchaj, Marti — gdybyśmy mogli pomówić spokojnie i rozsądnie.

Marta.

Tak... ja... jabym także chciała pomówić... Może to już będzie ostatni raz...

Jerzy —|przysuwając krzesło|—

Usiądź, Marti.

Marta.

—|siada i mówi, siląc się na spokojny ton głosu|—

Słuchaj, Jerzy... Powiadasz, że przez pamięć na mego ojca — gotów jesteś nawet... nawet ożenić się ze mną. Ja tak wielkiej ofiary nie wymagam. Ja wiem, że ty kochasz tamtą. Ja nawet już się z tem zgodziłam... —|usta jej wykrzywiają się przymuszonym uśmiechem|— Tylko to jedno... Chciałabym, żebyś mi powiedział prawdę. Teraz mię nie kochasz — zmieniłeś się — to trudno... ale była chwila, że mię kochałeś, prawda? była taka chwila — co? W początkach — przed dwoma miesiącami... może dlatego, że mnie nie znałeś jeszcze tak dobrze, jak teraz — aleś mię kochał — prawda? —|usuwa się do jego nóg i kurczowo chwyta jego ręce| Jerzy — powiedz mi, czy była taka chwila — taka krótka chwila, w której mię kochałeś?

Jerzy —|niepewnym głosem|—

Ależ... jak możesz nawet wątpić...

Marta —|patrząc mu w oczy|—

Jerzy! ty chcesz mię okłamać... ty chcesz mię znowu okłamać? Nie... nie... ja już nauczyłam się czytać w twoich oczach prawdę! Ty mnie nie kochałeś nigdy... nigdy...

—|podnosi się i przesuwa dłońmi po włosach|—

Tak — teraz widzę jasno...; teraz otworzyły mi się oczy na wszystko... to tylko przez krótką chwilę twoje zmysły należały do mnie — ale twoje serce i twoja dusza nigdy... ani przezsekundę nawet... Wziąłeś mię tak, jak się bierze dziewczynę z ulicy.

Jerzy.

Ależ, Marti...

Marta —|przerywając|—

Nie — nie... tylko mi nie zaprzeczaj Jerzy — ja teraz widzę jasno.. mogłabym odgadywać największe tajemnice — czytać ludziom z oczu wszystkie myśli... tak mi się nagle oczy otworzyły... Więc to wszystko było złudzenie... ty od początku ukrywałeś... po mistrzowsku ukrywałeś twój wstręt do mnie... Ach — Jerzy! jak ja cię w tej chwili nienawidzę!

Jerzy.

Gdybyś mię była nienawidziła od początku, byłoby lepiej. Jakaś fatalność kazała ci pokochać mię na twoje i moje nieszczęście. Ja... wierz

mi, Marti — widząc w tobie tę namiętność, bałem się poprostu jakimś nagłym zerwaniem złamać ci życie. Chciałem to pozostawić czasowi...

Marta —|z palącą goryczą|—

Tak — ty byłeś dobry... To ja... nie umiem cię ocenić. Ty wolałeś... znosić mnie przy sobie, jak złamać mi życie — prawda?

Jerzy.

Marti — gdybyś ty mogła być jeszcze szczęśliwą. Ja uczyniłbym wszystko dla twego szczęścia — ale... to nie w mojej mocy uszczęśliwić cię — wiesz o tem.

Marta.

Wiem... wiem.

Jerzy.

Jednakże jesteś młodą, Marti — Będziesz jeszcze kochała nieraz. Znajdzie się człowiek...

Marta.

Ach — tak, znajdzie się. Taki np. Szymon Hul niedawno jeszcze był zakochany we mnie.

Jerzy.

Szymon Hul? Co znowu? O takim niema co mówić. Ja myślę o człowieku, któryby cię naprawdę uszczęśliwił.

Marta.

Jerzy — jaki ty się zrobiłeś nagle szlachetny. Ha — ha! i jak ci z tem do twarzy? Zdeptałeś mnie, a teraz — patrząc z wysoka, mówisz do mnie łaskawie „Wstań, ja ci podam rękę”.

Ach — Jerzy — ja już wolałabym, abys mnie bił, kopał, znęcał się nademną — jak znosić tę twoją okropną szlachetność — tę litość...

Jerzy —|ocierając pot z czoła|—

Marti — przecież widzisz, że mam najlepsze chęci... Chciałbym istotnie podać ci rękę — wyciągnąć z tego otoczenia i z tej atmosfery, w której żyjesz.

Jestem pewien, że w innym otoczeniu byłabyś także inną. Chciałbym ci wskazać jakieś jaśniejsze widnokreśli... jakieś... szlachetne cele, któreby ci życie zapełniły. Gdybyś mnie posłuchała — Marti — na pewno byłabyś szczęśliwą.

Marta —|patrzac w ziemie|—  
 Więc — tak koniecznie mnie chcesz uszczęśliwić?

Jerzy.

Tak — Marti — chciałbym...

Marta.

Przez pamięć na mego ojca?

Jerzy.

Tak...

Marta —|podnosząc wzrok na niego|—  
 Chciałbyś, abym teraz zażądała czego od ciebie?

Jerzy.

Zażądaj Marti — ja proszę cię o to.

Marta.

—|nagle ze złym błyskiem oczu|—

Pocałuj mnie.

Jerzy —|ściągając brwi|—

Zawsze ta sama!

Marta.

Ha — ha! powraca dawny upiór — co? zawsze ta sama dzika i głupia  
 Marta...

Widzisz, Jerzy — jak prędko rozwiały się wszystkie twoje dobre chę-  
 ci.

— o —

## SCENA V.

Władysław

—|wchodzi; u drzwi robi ruch taki, jakby się chciał cofnąć|—

Czy przeszkadzam?

Jerzy.

Nie — co znowu?



Władysław

—|odkłada kapelusz. Po chwili mówi do Marty|—

Wszystkie formalności załatwione. Trumna zamówiona. Ciało wzięte do sekcji. Jutro będzie pogrzeb; postaramy się o ile możliwości, aby był jak najuroczystszy. Sprowadzimy orkiestrę robotniczą, która zagra marsza Szopenowskiego; może nawet uda mi się złożyć chór z kilku starszych górników i odśpiewamy hymn na cmentarzu.

—|Marta nie odpowiada ani słowa. Jerzy stoi nieruchomo oparty o poręcz fotelu.

Władysław przez chwilę przechadza się po pokoju, poczem idzie do pianina i zaczyna grać marsza pogrzebowego Szopena.

Jerzy i Marta milczą przez dłuższą chwilę, wreszcie Marta odzywa się pierwsza, wciągając szal na ramiona|—

Marta.

Jerzy... ja już idę...

Jerzy.

—|zawsze nieruchomy, nie odwracając głowy|—  
Idź — dokąd chcesz.

Marta.

—|przez chwilę jeszcze patrzy na niego z pod czoła, poczem odchodzi drzwiami w głębi|—

—|Jerzy przechadza się wzdłuż i wszerz pokoju — jakgdyby wążac w myśli nagłe postanowienie.

Władysław gra w dalszym ciągu|—

Jerzy

—|nagle idzie do drzwi z lewej strony i woła głośno|—

Franek! —|znowu zaczyna chodzić po pokoju|—

Franek —|wchodząc|—

Jestem, proszę pana.

Jerzy.

Sku... słuchaj Franek: pójdziesz do... do pana rządcy i poprosisz o konie dla mnie — zaraz. Powiesz... że jadę na pociąg... uważasz?

Franek.

Uważam, proszę pana. Zaraz leczę —| odchodzi|—

Jerzy.

—| idzie do okna — opiera się o jego framugę i wpada w zamyślenie|—

—| Władysław zajęty grą, nie słyszał powyższej rozmowy. Znowu dłuższa chwila milczenia|—

Władysław.

—| nagle przerywa grę i zwraca się do Jerzego stojącego w zagłębieniu okna|—

Jerzy — nie mówiłem ci jeszcze, że dziś wieczorem mają się tu zejść u nas górnicy, aby się naradzić, co począć dalej. Całą nadzieję teraz pokładają w tobie i wierzą święcie, że ich z tego okropnego położenia wyciągniesz.

Słońce już zaszło. Pewnie niedługo tu będą.

Cóż ty na to, Jurek?

Jerzy.

Ja... za kilka minut wyjeżdżam.

Władysław.

Co? Wyjeżdżasz?!

Jerzy —| patrząc na zegarek|—

Kazałem zaprzęgać — pociąg odchodzi za pół godziny.

Władysław.

Ależ, Jerzy, zastanów—że się — przecież... przecież wobec śmierci tego starego miakęś zostać... Sam mi to mówiłeś.

Jerzy.

Tak — ale... po namyśle — ja widzę, że nie mam po co zostawać. Starego nie wskrzeszę — a tu już i tak... —| zarzuca na ramiona podróżną pelerynę, bierze kapelusz i laskę i idzie do Władysława z wyciągniętą dłonią|—

Bądź zdrów, Władek. Spotkamy się jeszcze nieraz w życiu...

Władysław.

—| zatrzymując jego rękę|—

Ależ — Jerzy — co ty robisz? Jerzy... znikuj—że się nad tymi ludź-

mi: Oni tu przychodzą do ciebie o pomoc...

Jerzy [z wahaniem]—

Ja wiem — Władek, ale... gdybym tylko mógł...

Ja przecież niechęci do nich nie mam. Jabym im nieba przychylił...  
gdybym tylko mógł...

Władysław.

No — Jurek — zastanów się!

Jerzy.

Jabym nawet został, ale...

Franek —[wchodząc z kuferkiem w ręku]—

Proszę pana — już bryczka zajechała.

Jerzy.

—[zelektryzowany — ogląda się na mówiącego, poczem potrzasa silnie  
ręką Władysława]— Bądź zdrow — Władek.

—[z bezradnym ruchem ramion i głowy]—

Ja... widzisz... —[urywa i odchodzi szybko — za nim Franek z kufer-  
kiem]—

Władysław.

—[stoi przez chwilę w niemem osłupieniu — poczem opuszcza się na  
krzesło i ściska skronie rękami. Po chwili podnosi głowę i woła]—

Franek!

Franek —[wchodząc]—

Jestem proszę pana.

Władysław.

Czy pan Malicz odjechał?

Franek.

Odjechał, proszę pana.

Władysław.

Rzeczy — zabrał?

Franek.

A jakże proszę pana. Kuferek był spakowany od rana. Kazał furmanowi

konie podciąć i jechać prędko, żeby na pociąg zdążyli. Ja myślę tak, że zdążą, bo te nowe konie, co pan rządcą kupił — to chybkie.

Władysław —|przerywając mu|—

Możesz odejść.

Franek

Dobrze, proszę pana, —|chce odejść|—

Władysław.

Hm — czekaj jeszcze — Franek. Jakby tu przyszli ludzie z kopalni i pytali o nas — to im odrazu gadaj, że pan Malicz wyjechał i tylko ja sam jestem.

Franek.

Dobrze, proszę pana. —|zmierza ku drzwiom, ale przechodząc koło okna, zatrzymuje się i mówi dalej|— Już, proszę pana — idą tu całą gromadą. Czy ich mam zatrzymać?

Władysław.

—|podnosi się i idzie do okna|—

Idą? hm... to im tylko powiedz... to jest... albo nie... czekaj... idź do kuchni — niepotrzebny tu jesteś —|nerwowo|— Idź, powiadam.

Franek.

—|wzrusza ramionami i odchodzi|—

— o —

## S C E N A VI.

—|Górnicy w liczbie kilkudziesięciu wchodzą i zdejmują czapki, mówiąc|—

Dobry wieczór, panu.

Władysław.

—|podaje rękę kilku górnikom|—

Dobry wieczór — jak się macie, moi drodzy.

Czekam tu już na was od godziny.

Za górnikiem wsuwa się Szymon Hul — W kilka chwil potem Marta|—

Bielicki —|do Władysława|—

Proszę pana — my się tu zesзли, bo to jak panu wiadomo, przyszła na nas bieda straszna — i już nie wiemy, co mamy robić, bo to przecież każdy i rodzinę ma i dzieci, a bez zarobku i bez tego kawałka chleba żyć nie będzie.

Władysław.

Widzicie, moi drodzy...

Bielicki.

Bo to, jak panom wiadomo, że w kopalni zarobić nie można, bo zamknięte wszystko i dyrektor wyjechał. To my przyszli tutaj do pana Malicza, że to on dla nas zawsze jakąś radę miał i naszą stronę trzymał — to przecież i teraz nam z głodu umrzeć nie da.

Władysław.

Widzicie — moi drodzy... Ja... według mego zdania... Ja sędzę, że aby wybrnąć z tego... okropnego położenia...

Staniszek.

Przepraszam pana — ale mybyśmy chcieli z samym panem Maliczem pomówić.

Władysław.

Z panem Maliczem nie da się teraz mówić...

Kulis.

Dlaczego, proszę pana? jak gdzie wyszedł, to my za nim pójdziemy.

Władysław.

Pan Malicz... wyjechał.

—|Szmer nagłego zdumienia, na tle którego odcina się ostry krzyk Marty, która zbliża się i patrzy przerażonemi oczyma w twarz Władysława|—

Staniszek.

Wy... wyjechał? Dokąd?

Władysław.

Do Warszawy pośpiesznym pociągiem.

Bielicki.

Ale chyba tu do nas wróci niedługo?

Władysław.

Nie — już pewnie więcej nie wróci. Już się ze mną pożegnał.

—|Górnicy patrzą na siebie w niesłychanym zdumieniu|—

Marta —|niepewnym głosem|—

Panie... panie Władysławie — czy przed odjazdem nic mi nie kazał powiedzieć?

Władysław.

Nic, proszę pani.

—|Krótka chwila ponurego milczenia|—

Szymon Hul.

—|wysuwając się z głębi sceny|—

A powiedźcie mi teraz, bracia obywatele, czy ja wam nie mówił, że tak będzie? Pókiście byli syci — to on z wami chodził i gardłował i wrzeszczał, a wyście, jak głupie bydłota wyli nad nim i oklaski mu wybijali.

Władysław.

—|usiłkuje przerwać mowę Hula, ale Hul zwycięża go siłą swego głosu|

Szymon Hul.

A teraz kiedyście głodni — to on już z wami więcej gadał nie będzie — i powiada do was tak: Przepadaj hołoto podka! zdechnij z głodu, a ja se wyjadę, boś mi już obrzydła i trza mi innej zabawy po świecie szukać.

Ponury mruk wśród górników — poczem rozlegają się okrzyki:

Niech żyje Hul!

Szymon Hul.

A chcecie wy jeszcze wiedzieć — to ja wam powiem, czyja to wina, że on tak z wami postąpił —|wskazując na Martę|—

Patrzcie — to ta kądyczka podka kazała mu wyjechać, bo się o swego gacha bała, żeby go tu kto nie potracił, albo — jakby tu u nas było gorąco, żeby się zaś przy tym ogniu nie poparzył.

Nagadała mu — nagadała, aż się wystraszył i uciekł.

Marta.

To nieprawda! ludzie — nie wierzcie mu — to nieprawda.

Szymon Hul.

Córka wisielca — to i sama stryczka warta.

Głosy z tłumu —|wezbrane wściekłością|—

Gdzieś gacha schowała — rozpustnico?

Ty nam za wszystko odpowiesz!

Władysław —|wyteżając wszystkie siły i usiłując zasłonić  
Martę|—

Zostawcie dziewczynę. Na miły Bóg! Co ona winna!

Głosy z tłumu: Zdradzi ona nas tak jak i ojciec zdradzał!

Odrazu z nią skończyć!

—|Tłum z okrzykiem nienawiści otacza Martę —

kilka par rąk wczepia się w jej odzież i włosy.

Marta, przyciśnięta do ściany, krzyczy i wydziera się z ich rąk|.

Szymon Hul.

Ja wam powiadam, że ta łajdaczka wszystkiemu winna!

Marta —|z rozpaczą|—

O Jezus!!

Władysław

—|na tle ogólnej wrzawy|—

Ludzie! ludzie!! co wy robicie!!







Skanowanie i opracowanie graficzne na CD-ROM :



ul. Krzemowa 1

62-002 Suchy Las

[www.digital-center.pl](http://www.digital-center.pl)

[biuro@digital-center.pl](mailto:biuro@digital-center.pl)

tel./fax (0-61) 665 82 72

tel./fax (0-61) 665 82 82

**Wszelkie prawa producenta i właściciela zastrzeżone.**

**Kopiowanie, wypożyczenie, oraz publiczne odtwarzanie w całości lub we fragmentach zabronione.**

**All rights reserved. Unauthorized copying, reproduction, lending, public performance and broadcasting of the whole or fragments prohibited.**